

„ORZEŁ BIAŁY“  
(White Eagle)  
(L'Aigle Blanc)

Février 1970

Price 3/6

Cena 3/6  
\$ 0.50; 2.50 F.

B.D.I.C.



# SYRENA

*Polska walcząca o wolność*

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

ORZEŁ BIAŁY

LUTY

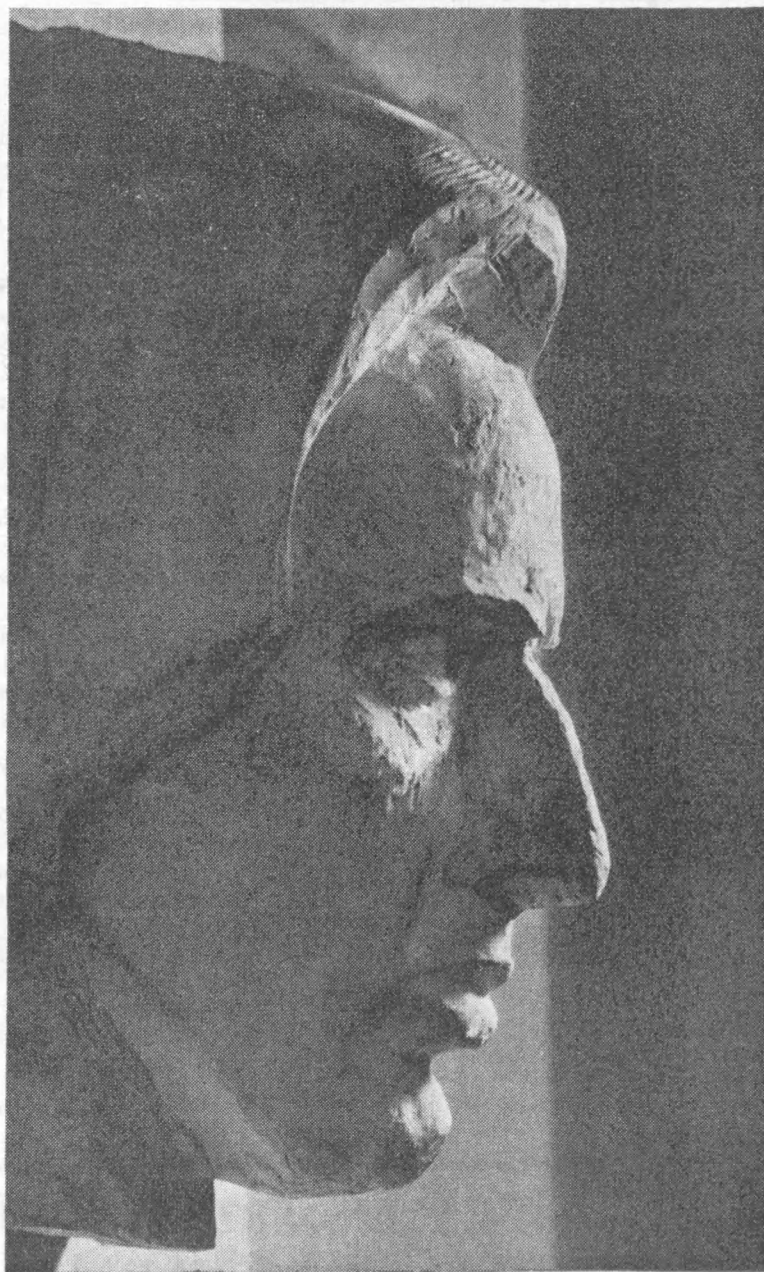
1970

Nr 67/1214



160-ta  
ROZCHNICA  
URODZIN  
FRYDERYKA  
CHOPINA

(22. II. 1810 —  
17. X. 1849)



Rzeźba Xawerego Dunikowskiego, 1919.



Czarodziej  
dźwięków, który  
„serce bierze i  
odmyka jak ktoś  
wchodzący do  
domu własnego“.



FP 2156

GRENADIERZY!

W 1970 roku będziemy obchodzić trzydziestą rocznicę naszych bojów na ziemi francuskiej.

1-sza Dywizja Grenadierów w beznadziejnej francuskiej kampanii, walczyła z wielkim poświęceniem do końca i nie złożyła broni. W późniejszym okresie wojny grenadierzy brali zaszczytny udział w działaniach na terenie Włoch, Francji, Belgii, Holandii, a nawet w Armii Krajowej.

Wśród francuskiej ludności Lotaryngii i Alzacji, żywe są po dziś dzień wspomnienia o walkach Dywizji Grenadierów. Lecz czas upływa, pokolenia okresu wojny przerzedzają się, a wielkość ofiary naszych poległych kolegów zasługuje na to, by pamięć 1-szej Dywizji Grenadierów trwała w przyszłych pokoleniach.

Zarząd Związku Grenadierów powziął myśl wzniesienia pomnika na polu bitwy pod Lagarde.

Przy szosie z Dieuze w kierunku na Baccarat, na wzniesieniu dominującym nad m. Lagarde i kanałem Marna-Ren, tuż na przedpolu lasu, o którego posiadanie toczyła się dwudniowa nasza najkrwawsza bitwa, stanąć ma pomnik, w postaci wielkiego granitowego głazu z odpowiednim napisem. Gmina Lagarde przyznała już na ten cel bezpłatnie, wybrany przez nas kawałek gruntu. Koszt pomnika wyniesie w przybliżeniu około 10 tysięcy franków.

Zarząd Związku Grenadierów oraz jego delegat na Francję kol. W. Żeleński, posiadają już część potrzebnego funduszu, lecz daleko jeszcze do pokrycia całości kosztów. Pertraktacje z odpowiednią firmą we Francji są już w toku.

Nie ma wątpliwości, że wybrane przez nas miejsce, jest najodpowiedniejsze dla tego celu. W bitwie pod Lagarde brały udział wszystkie oddziały dywizji.

Była to najkrwawsza bitwa, w której zwycięski kontratak nocny dnia 17 czerwca 1940 roku okrył żołnierską chwałą 1-szą Dywizję Grenadierów.

Niech potomni znajdą na tym polu bitwy widomy znak naszego żołnierskiego trudu.

GRENADIERZY — gdziekolwiek się znajdujecie! Jako były dowódca dywizji, apeluję do Was o pomoc. Niech każdy z nas, w miarę swoich możliwości, przyczyni się do przekazania przyszłym pokoleniom pamięci o Dywizji Grenadierów, którą stworzyła Polonia Francuska.

Składki na fundusz prosimy przysyłać na adresy:

w W. Brytanii — Zarząd Związku Grenadierów,  
20, Queen's Gate Terrace, LONDON S. W. 7.  
Czeki i Postal Orders prosimy wypełniać na „Polish Grenadiers Association“ (pomnik) i crossować.

We Francji: — Mr. W. Żeleński, czekiem bankowym („barre'e“), mandatem pocztowym lub przekazem OCP na rachunek 31 166-57, La Source lub Association Entr. „Aide Comité Grenadiers“ na rachunek: C C P 7838-76 Paris, z zaznaczeniem „pomnik“.

/—/ Bronisław Duch, gen. dyw.

BIBLIOTEKA „KULTURY“

WITOLD GOMBROWICZ

FERDY DURKE

Tom 1-szy

„Dzieł zbiorowych“

niedawno zmarłego Autora

Cena: 40 sh. — 5 dol. — 24 F.

Księgarnia SPK,

20, Queens Gate Terrace,

LONDON, S.W. 7.

W NUMERZE :

S. Korboński: Saga Getta Warszawskiego	1
S. Benedykt: Śp. Mieczysław Grydzewski	5
T. Podgórski: O pewnym odkryciu krajowego propagandzisty	6
F. Goldschlag: Droga do katastrofy	8
Wiślan: Kraj kontrastów	10
A. Stambrowski: Głód mieszkaniowy w Anglii	12
M. Tomkiewicz: To, o czym się nie mówi	14
F. Chrzanowski: Tematy paryskie	16
K. Brzozowska: O polskiej żonie Napoleona	18
S. Mayer: Spod Lwowa nad Berezynę	22
J. Wawrzkiwicz: 1-sza Dywizja Grenadierów A.P. we Francji	25
K. Glabisz: W 50-lecie Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie	26
J. Ostrowski: O filozofii polskich marksistów	28
Kage: Przegląd spraw wojskowych	30
B. Strenk: Breda po 25 latach — „Dziękujemy wam Polacy“	31
W. Günther: Anglik o Anglikach	32
Z życia polskiego	
J. Ostrowski: „Czereśnie“ zamiast „chleba“	36
J. Korczak: Wykonawstwo w muzyce	37
W. Stefański: Z Marssem lepiej ostrożnie	39

KALENDARZYK KOMBATANTA

na rok 1970

zawiera m.in. kilkaset adresów organizacji polskich w świecie, firm handlowych, daty imienin, mapkę kolejki podziemnej w Londynie. — Cena 7/6

KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, Queens Gate Terrace, LONDON, S.W. 7.

Powstałe wkrótce po zakończeniu działań wojennych w Polsce Polskie Państwo Podziemne na czele z Delegatem Rządu, Radą Jedności Narodowej i Komendą Główną Armii Krajowej, w której skład zresztą wchodziło kilku oficerów pochodzenia żydowskiego, zaczęło przez swą prasę podziemną donosić codziennie o coraz to nowych prześladowaniach Żydów, ostro je piętnować i nawoływać ludność do niesienia im pomocy. Podziemny organ Armii Krajowej, „Biuletyn Informacyjny“, utrzymywał nawet swego korespondenta w getcie, Jerzego Graszberga. Także partie polityczne działające w podziemiu zorganizowały sobie kontakt i współpracę ze swymi odpowiednikami lub członkami w getcie. I tak działacze „Bundu“ porozumiewali się stale z Polską Partią Socjalistyczną „Wolność, Równość i Niepodległość“ (PPS-WRN), zaś podziemna Komenda Harcerstwa Polskiego z członkami „Haszomer Hacair“. Podobne stosunki ze swoimi przedwojennymi członkami obecnie w getcie utrzymywało Stronnictwo Demokratyczne (SD). Do mniejszych podziemnych polskich organizacji, utrzymujących kontakt z gettem warszawskim, lub posiadających własne koła w getcie, należał Wojskowy Związek Walki Zbrojnej, występujący także pod nazwą Korpus Bezpieczeństwa, który sam uratował w ciągu całej wojny około pięciu tysięcy Żydów, organizacja lewicowa „Spartakus“, młodzieżowa organizacja „Związek Walki Wyzwoleńczej“, poza tym Organizacja Polskich Socjalistów (OPS), która to utworzyła w getcie wyższą komórkę organizacyjną, tzw. „Dzielnicę“. Po powstaniu w styczniu 1942 roku komunistycznej Polskiej Partii Robotniczej (PPR), utworzyła ona również swoją „Dzielnicę“ w getcie warszawskim.

Obok tego Delegat Rządu, który posiadał podziemną łączność radiową i przez kurierów z rządem polskim na emigracji w Londynie, już w roku 1940 zaczął ten rząd informować o prześladowaniach Żydów w Polsce, w wyniku czego rząd polski notą z 3 maja 1941 roku zwrócił się w tej sprawie do rządów sprzymierzonych. W tym samym roku

B.D.I.C.



# ORZEŁ BIAŁY

*Polska walcząca o wolność*  
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM  
WSPÓŁCZESNYM

Nr 67/1214

LUTY, 1970

Rok XXX

STEFAN KORBOŃSKI

## SAGA getta warszawskiego

polskie ministerstwo informacji w Londynie ogłosiło broszurę poświęconą prześladowaniu Żydów pt. „Bestiality Unkown in Any Previous Record of History“, opartą na materiałach otrzymanych z okupowanej Polski. W styczniu 1942 r. wydało ono nową broszurę pt. „The New German Order in Poland“. Obydwie te publikacje stały się głośne w świecie alianckim, który w roku 1941 posiadał już wszelkie dane dotyczące prześladowań Żydów w Polsce.

### ŻYDOWSKI RUCH OPORU

W tym to okresie zaczęto w gettach przygotowania do zbrojnego oporu. W październiku 1942 roku władze organizującego się żydowskiego podziemia przybrały nazwę żydowskiego Komitetu Narodowego (ŻKN). W skład jego weszli przedstawiciele wszystkich organizacji żydowskich z wyjątkiem „Bundu“. Wobec nieprzystąpienia „Bundu“ do ŻKN, została wyłoniona w końcu listopada 1942 roku przez te dwie organizacje Komisja Koordynacyjna, która z natury rzeczy stała się naczelnym ciałem politycznym żydowskiego podziemia. Niezależnie od tego, ŻKN jak i „Bund“ posiadały oddzielnych swych reprezentantów przebywających po stronie aryjskiej i utrzymujących regularne kontakty z Delegatem Rządu. Byli nimi: z ramienia ŻKN dr Adolf Berman (pseudonim Borowski), zaś z ramienia

„Bundu“ dr Leon Feiner (pseudonim Berezowski).

Z kolei w dniu 28 lipca 1942 roku została powołana do życia w getcie warszawskim Organizacja Bojowa, której przedstawicielem po stronie aryjskiej został Arie Wilner (pseudonim Jurek), działacz Haszomer Hacair. W dniu 2 grudnia 1942 roku, po rozszerzeniu składu Organizacji Bojowej, przybrała ona nazwę żydowskiej Organizacji Bojowej (ŻOB). Na jej czele stanął Mordechaj Anielewicz. W chwili wybuchu powstania w getcie liczyła ona 22 grupy bojowe, po 20-30 osób każda, ogółem ponad 700 osób. Łącznikiem z polską podziemną Armią Krajową pozostał Arie Wilner, który nawiązał kontakt z kierownikiem referatu żydowskiego w Komendzie Głównej Armii Krajowej (KGAK), Henrykiem Wolińskim (pseudonim Waclaw).

Zarówno ŻKN przez swego przedstawiciela, dra Adolfa Bermana, jak i „Bund“ przez swego reprezentanta dra Leona Feinera, a także Arie Wilner, złożyli oświadczenia, podporządkowujące działalność ich organizacji Delegatowi Rządu i KGAK, zarazem wysuwając prośby o pomoc finansową, o broń i amunicję, oraz w fachowym szkoleniu wojskowym. Delegat Rządu, zaakceptował tę deklarację i przyrzekł pomoc, zaś Komendant Armii Krajowej rozkazem z 11 listopada 1942 uznał żydowską Organizację Bojową za organizację paramilitarną i polecił jej stosowa-



nie instrukcji AK dotyczącej organizowania się i metod walki. Wówczas to Delegat powołał do życia referat żydowski, na którego czele stanął Witold Bienkowski (pseudo Kalski), a po nim Władysław Bartoszewski (pseudo Ludwik), odznaczony po wojnie medalem Yad Washem, współautor wraz z Zofią Lewinówną, wydanej w Polsce w roku 1966, dokumentarnej książki o pomocy Polaków dla Żydów, pt. „Ten jest z ojczyzny mojej“.

W ten sposób dokonał się historyczny akt zjednoczenia żydowskiego ruchu podziemnego z polskim ruchem podziemnym. Sposób, w jaki się dokonał, był wyrazem lojalności Żydów-obywateli polskich wobec państwa polskiego.

Nie należący do ŻOB, żydowski Związek Wojskowy (ŻZW), składający się z trzech grup bojowych, ogółem ok. 400 bojowców, przeważnie b. oficerów i podoficerów armii polskiej i członków syjonistycznej organizacji Betar pod dowództwem Pawła Frenkla, nawiązał kontakt z Delegatem Rządu i KAK przez polską organizację podziemną Korpus Bezpieczeństwa.

W ramach nawiązanej współpracy, na prośbę dra Feinera, KGAK wysłała depeszę do Londynu, do żydowskich organizacji, w rezultacie której drogami podziemnymi AK przesłało „Bundowi“ pierwsze 5.000 dolarów. Zapoczątkowało to coraz częstsze i na wyższe sumy przesyłki z zagranicy dla żydowskich organizacji podziemnych drogami Delegata Rządu i KGAK. Drogą radiotelegraficzną Delegata i KGAK nawiązały one także łączność z amerykańskimi organizacjami żydowskimi.

## RADA POMOCY ŻYDOM

W tymże czasie, z grona licznych polskich organizacji podziemnych wyszła inicjatywa nadania pomocy Żydom zorganizowanej formy, na skutek czego w dniu 4 grudnia 1942 roku została powołana przez nie do życia, za aprobatą Delegata Rządu — Rada Pomocy Żydom (pseudo Żegota), na czele z socjalistą Julianem Grobelnym i centralą w Warszawie. W skład jej, obok przedstawicieli partii politycznych działających w podziemiu, weszli także dr Leon Feiner, który został jej wiceprezesem oraz dr Adolf Berman, który stał

się jej sekretarzem. Oddziały tej Rady powstały w Krakowie (gdzie w skład jej wszedł okręgowy kierownik Walki Cywilnej, dr Seweryn Socha), we Lwowie, Zamościu i Lublinie oraz ekspozytury w Radomiu, Kielcach i Piotrkowie. Rada rozszerzyła i usprawniła opiekę nad ukrywającymi się Żydami w każdym z dotychczasowych kierunków, to jest dostarczając im mieszkań, dokumentów, żywności, opieki lekarskiej, pomocy pieniężnej i organizując komunikowanie się z rodzinami, przebywającymi w innych miejscowościach. W samej Warszawie zajęła się ona losem 4.000 osób, w tym 600 dzieci. Środków finansowych dostarczał Delegat Rządu, którego dotacja wynosiła początkowo pół miliona złotych miesięcznie, by urósł w listopadzie i grudniu 1944 roku do sumy 14 milionów złotych. Ogółem ŻEGOTA i żydowskie organizacje otrzymały ponad milion dolarów, 200 tysięcy franków szwajcarskich i 37.400.000 złotych. W żadnym z krajów okupowanych nie powołano do życia takiej organizacji jak ŻEGOTA, mimo że terror w tych krajach wobec ludności aryjskiej nie dał się nawet porównać z tym, jaki panował w Polsce.

W tym też czasie Kierownictwo Walki Cywilnej (KWC), wobec potęgającej się akcji zagłady Żydów, wydało odezwę z 17 września 1942 roku, w której napiętnowało wymordowanie przeszło miliona Żydów i założyło przeciwko temu imieniem narodu polskiego uroczysty protest. Odezwa ta została ogłoszona przez całą prasę podziemną, a pratelegrafowana do Londynu, została powtórzona przez British Broadcasting Corporation (BBC) i inne radiostacje alianckie.

Także, by położyć kres szantażom, KWC, któremu podlegały organizacyjnie sądy podziemne, wydało oświadczenie z 18 marca 1943 roku, w którym zagroziło surową karą „szmalcownikom“ i „sztorkarzom“. Po wydaniu tego oświadczenia, sądy podziemne, zgodnie z instrukcją KWC skazały na śmierć szereg Polaków i komunikaty o wykonaniu na nich wyroków śmierci przez zastrzelenie zostały ogłoszone w prasie podziemnej i przez radio. W ten sposób zostały zgładzone za prześladowanie Żydów następujące osoby: Bogu-

sław vel Borys Pilnik w Warszawie, Jan Grabiec w Krakowie, Tadeusz Stefan Karcz w Warszawie, Franciszek Sokołowski w Podkowie Leśnej, Antoni Pajor w Dobranowicach, Janusz Krystek w Grębkowie, Jan Łakiński w Warszawie, Bolesław Szostak w Warszawie i Antoni Pietrzak w Warszawie.

Niezależnie od tego, w wypadkach nagłych, gdy zwłoka groziła niebezpieczeństwem dla ukrywających się i ich opiekunów, Delegat Rządu decyzją z 7 lutego 1944 r. zezwolił na strzelanie szantażystów i denuncjatorów bez wyroku sądowego, a tylko na rozkaz odpowiedniej miejscowej władzy podziemnej. W ten sposób lokalny dowódca AK, Witold Rudnicki zarządził zastrzelenie bez sądu 4 „szmalcowników“, którzy grozili zadenuncjowaniem Żydów, ukrywających się w Pustelniku pod Warszawą.

Obok tego, Kierownictwo Walki Cywilnej (KWC), począwszy od lipca 1942 zaczęło informować drogą radiotelegraficzną rząd w Londynie — i to regularnie — o każdym nasileniu akcji prześladowania Żydów. Wiadomości bieżące otrzymywało KWC przede wszystkim od Henryka Wolińskiego.

Oto próbki niektórych depesz:

„18 marca 1943 r. Wystrzelano resztę Żydów w Radomsku, w Ujeździe, Sobolewie, Radzyminie i Szczercu koło Lwowa...“

„23 marca 1943 r. W Oświęcimiu próby sterylizacji kobiet. Nowe krematorium na trzy tysiące osób dziennie — głównie Żydzi.“

„31 sierpnia 1943 r. Likwidacja Żydów w Będzinie zaczęła się w początkach sierpnia br. Wywieziono ok. 7.000 do Oświęcimia. W pierwszym rzędzie likwiduje się młodych. Na dzień 1 lipca br. ogólna liczba Żydów w Polsce w przybliżeniu zarówno w obozach, w gettach i ukrywających się, waha się od 250-300 tysięcy. W tym Warszawa 15 tysięcy, Łódź 80.000, Będzin 30.000, Wilno 12.000, Białystok 20.000, Kraków 8.000, Lublin 4.000, Lwów 5.000.“

„23 września 1943 r. W Będzinie Niemcy wymordowali getto liczące 30 tysięcy.“

„19 listopada 1943 r. Mordowanie Żydów w Trawnikach trwa, rzeź w Poniatowie i Lwowie.“



„20 czerwca 1944 r. Zaczęło się od 15 maja w Oświęcimiu masowe mordowanie ludzi. Pierwsi idą Żydzi, potem jeńcy sowieccy i tzw. chorzy. Masowo przywozi się Żydów węgierskich. Na dobę przybywa 13 pociągów po 40-50 wagonów. Ofiary przekonane, że idą na wymianę jeńców lub na osiedlenie. Komory gazowe czynne bez przerwy. Trupy palą w krematoriach i na powietrzu. Zagazowano już ponad sto tysięcy.“

„19 lipca 1944 r. Akcją mordowania Żydów w Oświęcimiu kieruje komendant tegoż Hoes — czytaj Hess — i jego adiutant Grabner“.

### BEZSILNI W OBLICZU NIEMIECKICH ZBRODNIARZY

Również Delegat Rządu alarmował stale rząd swoimi depeszami o zagładzie Żydów, jako też przekazywał via Londyn depeze dra Feinera i dra Bermana, skierowane do rabina Stephena Wise i Nachuma Goldmana w Stanach Zjednoczonych, oraz do dwóch żydowskich członków Polskiej Rady Narodowej w Londynie, syjonisty dra Schwarzbarta i członka „Bundu“ Szmula Zygielbojma. Co ważniejsze jednak, został wysłany do Londynu emisariusz, dr Jan Karski, obecnie profesor Georgetown University w Waszyngtonie, który przed tym dzięki łapówce, w przebraniu wartownika estońskiego dostał się do środka żydowskiego obozu zagłady w Bełżcu i obejrzał wszystko własnymi oczyma. Przed opuszczeniem Polski, odbył on gruntowną rozmowę z dr Feinerem i dr Bermanem, którzy mu dali następujące instrukcje:

„Chcemy, by pan powiedział polskiemu rządowi, rządowi i czołowym przywódcom alianckim, że jesteśmy bezsilni wobec niemieckich zbrodniarzy. Nie możemy się sami obronić, ani też nikt w Polsce nie jest w stanie nas obronić. Polskie władze podziemne mogą uratować niektórych z nas, ale nie mogą uratować mas. Niemcy nie starają się nas ujarzmić tak jak inne narody. My jesteśmy systematycznie mordowani... cały nasz naród będzie zniszczony. Być może uda się uratować nielicznych, ale trzy miliony polskich Żydów są skazane na zagładę. Nie ma takiej siły w Polsce, która by mogła temu zapobiec i nie może te-

mu zapobiec ani polskie, ani żydowskie podziemie“. Niech pan odpowiedzialność za to złoży na barki aliantów. Niech żaden z przywódców Narodów Zjednoczonych nie będzie w stanie powiedzieć, że nie wiedział, iż jesteśmy w Polsce mordowani i że tylko z zewnątrz można nam przyjść z pomocą.“

Po pokonaniu ogromnych trudności, emisariusz Karski dotarł do Londynu w listopadzie 1942 roku i nie tylko poinformował o ludobójstwie popełnianym na Żydach polskich premiera gen. Władysława Sikorskiego i rząd polski, ale także w osobistej rozmowie następujących przywódców angielskich: ministra spraw zagranicznych Anthony Edena, przywódcę Labour Party Arthura Greenwooda, Lorda Selbourne, Lorda Cranborne, przewodniczącego Board of Trade dra Daltona, posłankę do Izby Gmin, Miss Ellen Wilkinson, ambasadora brytyjskiego przy rządzie polskim O'Malleya, ambasadora amerykańskiego przy rządzie polskim Antony Dixel Biddle'a i parlamentarnego podsekretarza spraw zagranicznych Richarda Law. Poza tym Karski złożył zeznania o zagładzie Żydów przed Komisją Zbrodni Wojennych Zjednoczonych Narodów (United Nations War Crimes Commission) pod przewodnictwem Sir Cecil Hursta. Wreszcie udzielił wywiadów prasie angielskiej, poinformował innych członków parlamentu i organizacje pisarzy oraz intelektualistów brytyjskich. Z kolei Karski udał się do Stanów Zjednoczonych, gdzie przedstawił osobiście los Żydów podsekretarzowi stanu Adolfowi Berle, prokuratorowi generalnemu Bidle'owi, sędziemu sądu najwyższego Feliksowi Frankfurterowi, arcybiskupom Mooney'owi i Stritch'owi, wreszcie amerykańskim przywódcom żydowskim rabinowi Stephen'owi Wise, Nachumowi Goldmanowi, Waldmanowi i innym. Wreszcie, został on przyjęty przez prezydenta Franklina Roosevelta, który przedłużył czas audiencji, by tylko wypytał Karskiego o szczegóły zagłady Żydów. W ten sposób polski emisariusz podziemny przekazał wiadomości o losie Żydów w Polsce przywódcom narodów sprzymierzonych, co jednakże nie miało żadnych praktycznych skutków.

B.D.I.C

### APELE DO SUMIENIA ŚWIATA

Jeśli chodzi o odcinek polski, to rezultatem misji Karskiego była w każdym razie rezolucja Rady Narodowej w Londynie z 27 listopada 1942 roku, apelująca do narodów sprzymierzonych o podjęcie wspólnej akcji, wymierzonej przeciw eksterminacji ludności żydowskiej w Polsce. Również polski minister spraw zagranicznych w nocy z 10 grudnia 1942 roku, skierowanej do rządów sprzymierzonych, po przedstawieniu w chronologicznym porządku poszczególnych etapów zagłady Żydów w Polsce, wezwał te rządy: „do znalezienia skutecznych środków, po których można by się spodziewać, że powstrzymają Niemcy od dalszego stosowania metod masowej zagłady.“ W siedem dni pó-

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

### KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

FRANCJA

66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

### WOLNE OD OPŁAT CELNYCH

- materiały dentystyczne produkcji angielskiej, niemieckiej, szwajcarskiej, USA itd.
- wszystkie lekarstwa
- okulary
- pończochy na zylaki
- wykonywanie recept krajowych sprawnie wyśle, bez zwłoki

Największy na świecie  
Polski Dom Wysyłkowy

**TAZAB & CO.,**

TAZAB HOUSE

ROLAND GARDENS,  
LONDON, S.W. 7.

Tazab of London Inc., 16, Stuyvesant  
Street, New York 3, N.Y. 10003

o r a z

Représentation de Tazab à Londres,  
20, Rue Legendre, Paris 17-e.

źniej, 17 grudnia 1942 roku, dwa-  
naście rządów sprzymierzonych wy-  
dało wspólne oświadczenie, zapowia-  
dające ukaranie osób, odpowiedzial-  
nych za zagładę Żydów. Poza tymi  
słownymi deklaracjami, nie podjęto  
jednak żadnej akcji, mimo że zarów-  
no Delegat Rządu, jak i KGAK do-  
magaly się bombardowań odweto-  
wych miast niemieckich z zaznacze-  
niem, że stanowi to odwet za zagła-  
dę Żydów. Władze podziemne wy-  
chodziły z założenia, że i tak miasta  
niemieckie są częściowo bombardo-  
wane, zgodnie z zapowiedzią premie-  
ra Churchilla z roku 1940, w odwet  
za bombardowania miast angielskich,  
więc różnicę stanowiłyby tylko  
ulotki rozrzucone nad zbombardo-  
wanymi miastami lub zapowiedzi  
radiowe ogólnego charakteru, tj. bez  
wymieniania miasta, które ma być  
zbombardowane. Te władze domaga-  
ły się również stałego bombardowa-  
nia i w ten sposób niszczenia linii  
kolejowych, prowadzących do obo-  
zów zagłady, co uniemożliwiłoby  
transportowanie do nich ludności  
gett. Również dr Feiner i dr Berman  
w swych depeszach do Londynu żą-  
dali tej samej akcji. Co więcej, za-  
chęcał także do tego ukryty anty-  
hitlerowiec, oficer SS Kurt Ger-  
stein, w rozmowie ze szwedzkim dy-  
plomatą von Otterem w przedziale  
berlińskiego ekspresu. Autor ni-  
niejszego artykułu depeszą do rzą-  
du z 17 czerwca 1943 r. zreasumo-  
wał żądania w dziedzinie odwetu w  
następujących słowach:

„17 czerwca 1943 roku. Opinia  
kraju woła o uwagę świata anglosa-  
skiego i odwet na Rzeszy w myśl  
wypowiedzianego od roku postulatu  
wyliczenia zbrodni, za które Rzesza  
jest bombardowana... Proszę usil-  
nie o odezwę odpowiednie przy bom-  
bardowaniach, że są one w odwet  
za ostatnie bestialstwa Niemiec.“

Nie podjęto jednakże żadnej akcji,  
rzekomo z powodu technicznej nie-  
możliwości lotów na tak dużą odle-  
głość. Tymczasem Sir Arthur Har-  
ris, dowódca angielskiego lotnictwa  
bombowego (Chief of Bomber Com-  
mand) uważał na przykład bombar-  
dowanie Oświęcimia z baz we Wło-  
szach za technicznie możliwe. Po-  
dobnego zdania był kapitan Leonard  
Cheshire V.C.. Co więcej, fabryki  
wokół Oświęcimia były bombardo-  
wane, nie zatem nie stało na prze-

szkodzie bombardowaniu linii kole-  
jowych, prowadzących do tego naj-  
większego obozu śmierci.

Jeśli chodzi o odcinek wojskowy,  
to KGAK wyznaczyła mjr. Stanisła-  
wa Webera (pseudo Chirurg) i kpt.  
Zbigniewa Lewandowskiego („Szy-  
na“) do zorganizowania pomocy dla  
ŻOB. W ramach tej akcji, w gru-  
dniu 1942 roku zostało przekazane  
ŻOB 10 pistoletów z amunicją, zaś  
w styczniu 1943 r. dalsze 10 pisto-  
letów z amunicją. W tym miejscu  
należy podkreślić, że pistolet miał  
wówczas wartość większą, niż życie  
ludzkie. Jednym ze sposobów zdoby-  
wania takiej broni, poza rzadkimi  
wypadkami kupowania jej od nie-  
mieckich żołnierzy, było terroryzo-  
wanie tych żołnierzy wieczorami na  
ulicach miast i odbieranie im broni.  
Często nie dali się zaskoczyć i wie-  
lu członków AK zapłaciło za to swo-  
im życiem. Pomoc ze zrzutów spado-  
chronowych była znikoma i Komen-  
dant Główny AK, gen. Stefan Ro-  
wecki, skarżył się w swej depeszy  
z 19 lutego 1943 r. do Naczelnego  
Wodza w Londynie, gen. Władysła-  
wa Sikorskiego, że zamiast obiec-  
anych 100 zrzutów broni, dokonano  
tylko 17.

#### KONCEPCJA POWSTANIA W GETTCIE

Obok tego, od stycznia 1943 roku  
zaczęły się odbywać wspólne narady  
oficerów AK z przedstawicielami  
ŻOB nad planami wspólnej akcji  
po obu stronach murów getta, gdy  
tam wybuchnie powstanie. Zostały  
wydzielone trzy polskie oddziały,  
które pod dowództwem kpt. Pszen-  
nego („Chwacki“), miały dokonać  
wyłomu w murach getta, uderzając  
na Niemców od strony aryjskiej i  
wysadzając mury materiałami wy-  
buchowymi. Ponieważ z góry przy-  
jęto, że powstanie w gettcie musi się  
skończyć klęską, zatem chodziło o  
otwarcie dla bojowców żydowskich  
drogi odwrotu.

Ta koncepcja była całkowicie od-  
mienną od Powstania Warszawskie-  
go, które wybuchło w rok przeszło  
po powstaniu w gettcie, w dniu 1-go  
sierpnia 1944 roku. Ta ostatnia kon-  
cepcja przewidywała wybuch po-  
wstania w Warszawie i wogóle w  
całej Polsce w miarę zbliżania się  
wojsk sowieckich, w Warszawie —  
gdą wojska sowieckie dojdą do jej

przedmieść. Z pomocą tych wojsk  
miało być osiągnięte zwycięstwo.  
Wojska te zbliżyły się do przedmie-  
ścia Praga w ostatnich dniach lipca  
1944 roku. Niestety, na rozkaz Sta-  
lina, którego planom politycznym  
to Powstanie nie odpowiadało, woj-  
ska sowieckie zatrzymały swą ofen-  
sywę i po 63 dniach walki Powsta-  
nie Warszawskie skapitulowało. Mi-  
mo tego niepowodzenia jednakże, je-  
go koncepcja była zdrowa i prowa-  
dziła do zwycięstwa. Tymczasem w  
dniu wybuchu powstania w gettcie  
warszawskim, 19 kwietnia 1943 ro-  
ku armia sowiecka była oddalona od  
Warszawy setki kilometrów. Z kole-  
i AK dostarczyła ŻOB dwa ręczne ka-  
rabin maszynowe, jeden lekki ka-  
rabin maszynowy, 50 pistoletów,  
wszystko z magazynkami i amunicją,  
10 karabinów, 600 granatów ręcz-  
nych z zapalnikami, 30 kg. materia-  
łów wybuchowych (plastyku) ze  
zrzutów spadochronowych, 120 kg.  
materiału wybuchowego produkcji  
własnej, 400 zapalników do bomb i  
granatów, 30 kg. potasu do butelek  
zapalających oraz duże ilości sale-  
try potrzebnej do wyrobu prochu.  
Wreszcie ŻOB otrzymała instrukcje  
dotyczące produkcji bomb, grana-  
tów ręcznych i butelek zapalają-  
cych, wskazówki dotyczące budowy  
punktów oporu oraz informacje o  
źródłach zakupów szyn i cementu na  
ich budowę.

Stefan Korboński

(Dokończenie w następnym numerze)

JÓZEF GARLIŃSKI

### POLAND, SOE and the ALLIES

„Każdy, kto chce poznać jedną z  
największych tragedii naszych cza-  
sów, musi przeczytać tę książkę“.

M. R. D. Foot (Sunday Times)

Cena: 35/-

Wydawca: George Allen and Unwin

Do nabycia:

w KSIĘGARNI KOMBATANCKIEJ  
20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.



# Ś. p. Mieczysław Grydzewski

TO już niemal pół wieku minie wkrótce, gdy w wolnej Warszawie, w stolicy kraju, budującego zaledwie zręby własnego, niezawisłego życia i politycznej niepodległości, jeszcze bardzo biednego pod każdym względem, ukazał się pierwszy numer „Wiadomości Literackich“. Wspaniała szata, znakomite pióra, coś zupełnie nowego i odmiennego w dość szarej i monotonnej dotychczasowości.

Entuzjazm jednych, z obozu zwolenników i przyjaciół, krytyczny i nieco zawistny pogląd innych, przy coraz bardziej, z roku na rok a może nawet z miesiąca na miesiąc życzliwym i narastającym stosunku ogółu, czytelników i odbiorców.

Entuzjastycznym założycielem i inicjatorem, a do ostatnich chwil życia redaktorem naczelnym był wówczas młody absolwent czy może już doktor polonistyki Uniwersytetu w Warszawie, znany zaledwie w najbliższym gronie przyjaciół czy kolegów — Mieczysław Grydzewski.

„Grydz“ — jak go w mowie potocznej nazywano był już wtedy redaktorem „Skamandra“, periodyku młodych poetów, którzy zabłysnęli talentami i swym urzekającym słowem, jakby odbłaskiem odzyskanej wolności, niepodległości i zwycięstwa.

Zarobkowo, bo przecie żyć z czegoś trzeba było, Grydzewski pracował początkowo w redakcji Kuriera Polskiego, w dobrej a nawet znakomitej szkole dziennikarskiej Ignacego Rosnera.

W ciągu tej kilkunastoletniej pracy do września roku 1939 Grydzewski rozwinął i doprowadził „Wiadomości Literackie“ do najwyższego poziomu, do wspaniałego rozkwitu.

Bez subsydiów czy obcych kapitałów, bez uzależnienia się od kogokolwiek, od rządu czy opozycji, własną — trudno ją nazwać inaczej — benedyktyńską pracą, pracą, która nie kończyła się w ciągu 24 godzinnej doby Grydzewski dokonywał cudów zarówno od strony oraz to nowych autorów, i to różnych poglądów politycznych, odkrywanych młodych talentów jak i stale rosnącej rzeszy wiernych i przysięgłych czytelników.

Wiadomości Literackie — to był prawdziwy „cud nad Wisłą“, cud

prawdziwego tygodnika literackiego na najwyższym poziomie, który ujrzawszy światło dzienne w zmienionym na redakcję, administrację i dyrekcję wydawnictwa, prywatnym mieszkaniu Grydza, w pierwszych latach niepodległego państwa — przetrwał również najtrudniejsze czasy wojny we Francji, a następnie w Londynie — mimo przeciwnych wiatrów i chwilowych szykan demokratycznej cenzury angielskiej i trwa nadal.

Czytany jest dosłownie w całym świecie, w najodleglejszych zakątkach świata wolnego, do których dotarli wolni Polacy, o wolność dla własnego państwa nadal walczący.

W kraju — Wiadomości — dawne czy obecne są naturalnie na indeksie, są zakazane i dostępne tylko dla wybranych — czytane są potajemnie, przemycane jak za czasów zaboru carskiego czy okupacji niemieckiej.

Mieczysław Grydzewski nie umarł nagle. Chorował od kilku lat. Przed 3-ma laty wyszedł z pracy w redakcji, która trwała zawsze do późnych godzin nocnych i zasłabł na ulicy.

Przewieziony w ciężkim stanie do lecznicy, mimo połowicznego porażenia nie poddaje się — wystukuje nadal na maszynie „Silva rerum“ swoją stałą rubrykę w Wiadomościach.

Bo Wiadomości — to bez przesady żadnej — były zawsze Jego najbliższą rodziną, o którą należało walczyć rozumem i dbać tkliwym sercem.

Grydzewski nie zostawił rodziny — rodziną Jego są najbliżsi przyjaciele, współpracownicy i tysiące wiernych czytelników Wiadomości.

Wszystkich los dotyka w tej chwili jednakowo boleśnie, wszyscy myślą o zakończonym pracowicie życiu Jego z największym uznaniem i równocześnie z najgłębszym smutkiem.

Gdy rozeszła się wiadomość o zgonie śp. Mieczysława Grydzewskiego nasz lutowy numer „Orla Białego“ był już niemal zakończony.

W tej krótkiej notatce chcielibyśmy jedynie oddać hołd Jego pamięci, zadokumentować pośmiertnie — jak

czyniliśmy to w czasie życia Jego — najwyższe uznanie, rzetelny podziw dla pół wieku niemal trwającej pracy, dla Jego niewątpliwych i wyjątkowych zasług dla polskiego piśmiennictwa.

I jeszcze jedno i to na naczelnym miejscu — dla Jego postawy jako wolnego obywatela, walczącego o wolność Rzeczypospolitej.

Żegnamy odchodzącego w zaświaty najświetniejszego redaktora, który swoją pracą wszedł na zawsze do piśmiennictwa i literatury Polski Niepodległej.

Pragniemy, by na łamach naszych ukazała się jeszcze obszerniejsza relacja, która podsumowałaby dorobek całego Jego, tak pracowitego życia, a równocześnie nakreśliła prawdziwą sylwetkę tego przyjaciela pisarzy, tak dbałego zawsze o poziom pisma, w wiernej służbie czytelników.

Stefan Benedykt

*Doskonała książka na nagrodę młodzieży w szkołach przedmiotów ojczytych*

**ICH MŁODE LATA**

JADWIGI OTWINOWSKIEJ

*Opowieść o chłopcach z Legionów*

Cena: 9/-

KSIEGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W.7.

**ANGLOPOL Ltd.**

z a ł a t w i a m y

*Kupno — sprzedaż domów*

— *Pożyczki do 80%*

**226, Westbourne Grove,  
London, W. 11.**

Tel.: BAY 3645

**R**ÓDACY nasi w kraju już są w przedsiönku rajü. Maluczko a wszyscy obywatel PRL staną się najszcześliwsiymi z ludzi. Taki wniosek nasuwa się z lektury sążnistego artykułu naczelnego redaktora „Trybuny Mazowieckiej“ — Alfreda Wałka, członka egzekutywy partyjnej województwa Warszawskiego i, co też ma swoją wymowę — jednego z filarów propagandowych frakcji tzw. „partyzantów“. Artykuł ukazał się pod koniec roku 1969 i bił w oczy wielkim tytułem-hasłem: „BLIŻEJ LUDZKICH SPRAW“. W treści domagał się większego zainteresowania codziennymi potrzebami i troskami zwykłych obywateli, którzy spotykają się ciągle z niewłaściwym traktowaniem w fabrykach, sklepach, urzędach, instytucjach, pociągach, autobusach — wszędzie!

Otóż wpływowy aktywista PZPR, Alfred Wałek, doszedł do wniosku, że gdyby zmienić te stosunki, gdyby przywiązywać więcej wagi do tych najzwyklejszych ludzkich spraw, kiedy już — jak podkreśla — uporano się w Polsce z wielkimi sprawami rewolucji, życie powszednie naszych rodaków tam nad Wisłą, Odrą i Bugiem stałoby się znacznie łatwiejsze i już nie mieliby żadnych powodów do narzekań.

### KOLEJNY PROGRAM NAPRAWY „LUDOWEJ“ OJCZYZNY

Szczerze mówiąc reformator z Mazowsza zbytö nie wysilił. Podobne slogany rozpowszechniane są od paru miesięcy przez cały aparat propagandowy dla przeciwwagi widocznym dla wszystkich niepowodzeniom gospodarczym, szczególnie dotkliwym w dziedzinie inwestycji. Cała akcja ma na celu wzmówienie społeczeństwu, że samo jest sobie winno, gdyż nie przykładła się należycie do wspólnego wysiłku w budowaniu „socjalizmu“ oraz nie umie ułożyć poprawnie stosunków codziennego współżycia.

Seria sloganów programu naprawy PRL“ wysuniętych przez moczarowca Alfreda Wałka przedstawia się następująco:

— Samorządy robotnicze i kierownictwa zakładów pracy powinny stawiać sprawy socjalno-bytowe swoich pracowników na równi z zadaniami produkcyjnymi.

### TADEUSZ PODGÓRSKI

— W stosunkach poza murami fabryk i instytucji należy stosować więcej prostej, ludzkiej życzliwości.

— Od handlu trzeba wymagać, aby zmienił stosunek do klientów. Placówki handlowe powinny być sprawniejsze i lepiej zaopatrzone, gdyż obecnie handel — pamiętajmy — rzekomo „uspołeczniony“ jest — jak to określili redaktor Wałek — „największym złodziejem czasu ludzi pracy“.

— Równie konieczne jest usprawnienie komunikacji oraz zwiększenie domów mieszkalnych codziennymi potrzebami lokatorów.

— Padły także ostre słowa o „przerostach biurokracji“ i jej lekceważącym stosunku do zwykłych obywateli. Upomniano służbę zdrowia, aby wykazała większe wyczulenie na cierpienia chorych, a milicji — rzecz prawie nie do wiary — zwrócono uwagę, aby uprzejmiej załatwiała sprawy meldunkowe.

Poprzestańmy na tych paru przykładach. Doprawdy, są wprost rozbijające! Jak z tego widać, propagandzista komunistyczny doskonale wie, co trzeba uczynić, aby powszednie życie ludzkie stało się w Polsce znośniejsze. Dostrzegą w koło siebie niesamowite bezhołowie, sobiepaństwo, egoizm i skrajną — jak to się teraz w Polsce mówi — „znieczulicę społeczną“, klasyczny owoc ćwierćwiecza tak podobno doskonałych w formie i programowej treści rządów komunistycznych. Redaktor „Trybuny Mazowieckiej“ powiada nawet: „To co napisałem wystarczy już, abyśmy mogli podnieść larum przeciwko tym wszystkim instytucjom, a przede wszystkim ludziom, którzy w tak dokuczliwy dla nas sposób traktują sprawy innych ludzi“.

Trafne ujęcie sprawy, tylko pod czym adresem? Odpada przypuszczenie, że jest to jakiś przytyk do Gomułki i jego ekipy rządzącej, bo redaktor Wałek nie z takich co by się narażali. A przecież o wszystkich tych sprawach, które tak bardzo dają się Polakom we znaki decyduje przede wszystkim kierownictwo PZPR. Ono ustala w najdrob-

## O PEWNYM ODKRYCIU

niejszych szczegółach plany produkcji i zadania handlu. Kierownictwo partii wytycza program postępowania wszystkich bez wyjątku instytucji. To ono uzurpowało sobie prawo prowadzenia wszystkich obywateli za rączkę jak małe dzieci i stałego pouczenia, co i jak należy robić. A tymczasem okazuje się, że wszystko w tym najdoskonalszym systemie katastrofalnie nawala.

### NIEDOMÓWIENIE I KŁAMSTWO

A więc redaktorze „Trybuny Mazowieckiej“ — kawę na ławę! Trzeba jeszcze pokazać winnych palcem. wymienić ich po imieniu i grzecznie poprosić, aby ustąpili miejsca innym ludziom bardziej kompetentnym do właściwego pokierowania sprawami kraju w interesie szerokich rzesz ludowych.

Ale nasz mazowiecki reformator to szczwany lis. Potrafił pokazać ropiejące rany, które grożą gangreną całego polskiego życia, lecz jednocześnie umie być ostrożny. Zanim wygarnął listę tych dokuczliwych dla społeczeństwa mankamentów życia powszedniego pod rządami PZPR zastrzegł się na wstępie, że „Každy niemal dzień dostarcza nam przykładów troski władz państwowych, gospodarczych i związkowych o sprawy bytowe ludzi pracy. W fabrykach i przedsiębiorstwach, instytucjach państwowych i spółdzielczych dokłada się starań, aby wytworzyć klimat sprzyjający poprawie warunków pracy i życia zatrudnionych w nich pracowników“.

Czyli na początku wywodów mistrza dialektyki, Alfreda Wałka, dowiedzieliśmy się, że wszystko rozwija się prawidłowo dzięki postawie kierownictwa partii i władz państwowych. Następnie zaś reformator mazowiecki wyliczył długą listę zaniedbań i niedociągnięć dokuczliwych dla całego społeczeństwa, a zwłaszcza dla zwykłych ludzi pracy. Na wstępie pochwalił władze, że chcą przecież jak najlepiej, bo niby dbają o ten „sprzyjający klimat“, następnie, dowiedzieliśmy się, że codzienny klimat stosunków administracyjnych i ludzkich jest dziś w Polsce nie do zniesienia, a na za-



# KRAJOWEGO PROPAGANDZISTY

kończenie wygarnął obywatelom, że sami są sobie winni, gdyż dokuczliwości te „... nigdy by nie zaistniały, gdyby każdy... wykonywał dokładnie swoje podstawowe obowiązki, gdyby pracował z myślą o innych ludziach...”

Czyli — co dobre, za to ludzie mają być wdzięczni władzy ludowej, nieomyłnej i niezastąpionej partii. Co złe — zawinili sobie sami, gdyż jakoby źle spełniają swoje obowiązki.

## OGRANA ŚPIEWKA

Znana to śpiewka. Powtarzana jest na wszystkich komunistycznych zjazdach i niezliczonych konferencjach. Basują ją wszystkie kolejne plena KC PZPR, które raz po raz uzdrawiają choroby polskiego życia społecznego i gospodarczego, lecz później okazuje się, że diagnozy były błędne, a kuracja chybiona. Tylko nieodmiennie rachunek tych niepowodzeń i niekończących się reform muszą płacić ci, których aparaczczycy pozbawili głosu. Płaci za to całe społeczeństwo, a w pierwszym rzędzie klasa robotnicza pozbawiona przez komunistów środków obrony.

A teraz pozwolę sobie na przytoczenie paru uwag z innego pisma krajowego, także kontrolowanego przez komunistyczną redakcję, które również w oderwaniu od tła politycznego naszych obecnych stosunków dokonało porównania pewnej ustawy z życiem. Sprawa ta wiąże się z zagadnieniami produkcyjnymi.

Otoż redaktor Wałek, zapewniał w „Trybunie Mazowieckiej” o tym, że władze sprzyjają poprawie warunków pracy oraz zaczęli służbę zdrowia o brak właściwego odniesienia do chorych. Tymczasem w organie pracowników służby zdrowia redaktor Eugenia Czaplicka stwierdziła niechęć coś wręcz przeciwnego. Wypowiedziała się mianowicie na temat coraz gorszych warunków pracy, przedstawiając na to konkretne dowody. Stwierdziła: „W r. 1960 zarejestrowano w przemyśle 1.429 przypadków chorób zawodowych. W r. 1965 — już 3.563 przypadki, a w r. 1968 — aż 4.005”.

Autorka ze „Służby Zdrowia” zaznacza przy tym, że nie wszystkie przypadki zachorowań z powodu złych warunków pracy są we właściwym czasie wykrywane. Nadmieniam również, że lekarze spotykają się z dużymi trudnościami, gdy zalecają rozwiązania przewidziane w bardzo dobrej i precyzyjnej ustawie o higienie i bezpieczeństwie pracy. Bo cóż z tego — pisze — że lekarz ratując jednego pracownika przed kalectwem przesuwają go na lepsze miejsce pracy, gdy miejsce szkodliwe dla zdrowia zajmuje natychmiast kto inny.

## OCHOTNICZY NA INWALIDÓW

Z uwag Czaplickiej dowiadujemy się jeszcze innej ciekawej rzeczy stwierdzonej przez lekarzy. Robotnicy zagrożeni na zdrowiu złymi warunkami pracy niechętnie przechodzą na inne stanowisko robocze, gdyż z reguły wiąże się to z obniżką zarobków. Czaplicka podkreśla, że poszkodowany robotnik „woli dorobić się choroby wraz z rentą inwalidzką, niż przejść na gorzej płatne stanowisko”. Sprawa takiego przeniesienia — zaznacza — „wlecze się tak długo aż robotnik dojrzeje, by stanąć przed komisją inwalidzką”. A przecież — konkluduje: „...nie po to polywano przemysłową służbę zdrowia, aby udzielała spóźnionej pomocy!”

Oto klimat stosunków produkcyjnych i rzekomo prawidłowe podejście władz do tych, i innych ludzkich spraw, o czym tak optymistycznie zapewniają propagandziści w typie Alfreda Wałka.

## SŁOWO O POZIOMIE KRAJOWEJ PUBLICYSTYKI KRAJOWEJ

Doprawdy, zbyt późno wysuwać dziś jak gdyby nigdy nie tezę poleconą przez Alfreda Wałka, że trzeba znaleźć się „bliżej ludzkich spraw. Po ćwierćwieczu tolerowania systemu „znieczulicy społecznej” przez „nieomyślnych” aparaczczyków, którzy sami ludzkie sprawy zaniedbują, wytworzył się w Polsce klimat pogardy dla potrzeb i żądań mas ludo-

wych. Wyrazem tego pogardliwy stosunek do ludzi aparatu administracyjnego w urzędach oraz lekceważenie spraw ludzkich przez kierownictwa przedsiębiorstw, a spraw obywateli przez placówki handlowe, usługowe, socjalne czy transportowe.

Redaktor Wałek i jego partyjni koledzy z innych pism uzależnionych od PZPR — doskonale o tym wiedzą. Niejeden z nich zauważył te objawy, a raczej skutki źle sprawowanej, bo nie kontrolowanej przez społeczeństwo władzy. Ale wszyscy tego rodzaju „publicyści” udają frantów i piszą o tych smutnych zjawiskach jakby spadły z księżycy. Wysługując się bonzom z olimpu PZPR zwalniają ich z odpowiedzialności za pożałowania godne skutki ich rządów. Natomiast jak na urągawisko dopatrują się winy u zwykłych obywateli, którzy i tak przecież cierpią najwięcej dźwigając ciężary zbankrutowanego systemu w którym musi się szerzyć powszechna „znieczulica społeczna”.

I tak jest ze wszystkim: z krytyką wieloletnich błędów w planowaniu inwestycji, z odpowiedzialnością za upadek polskiego kolejnictwa, z kwestią usprawnienia usług służby zdrowia, z alkoholizmem, chuligaństwem, z plagą chorób wenerycznych, powszechnym zubożeniem. Władze — deklamują propagandziści — chcą jak najlepiej. Zło jest winą obywateli, którzy na władzę nie mają wpływu. Oto co nazywa się dziś publicystyką społeczną.

## Biblioteka „Kultury”

seria DOKUMENTY

WŁADYSŁAW BIENKOWSKI

## MOTORY I HAMULCE SOCJALIZMU

Studium procesów społecznych w państwie socjalistycznym.  
Książka, która spowodowała usunięcie autora z partii komunistycznej.

Cena: 20 sh. — 2.50 dol. — 12 fr.

## Księgarnia SPK

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

# DROGA DO KATASTROFY

Kłopoty z demografią. Do głosów wolających na puszczy dołączają się już przestrogi różnych śmiałków. Jak na razie, za dużo pseudofachowców i niepowołanych doradców. Rozpychają się jak szare gęsi i zaciemniają jasne, chociaż konsekwencjami przerażające, problemy.

Teolog patrzy na zagadnienie inaczej aniżeli technolog, a socjolog odmiennie niż polityk, Geolog i agronom śmieją się w kulak, gdy słyszą na jakie plony w przyszłości liczą optymiści przy zielonym stoliku. Biolog natomiast, zwłaszcza genetyk, wyrывa sobie włosy z rozpaczy na myśl, jakie niebezpieczeństwo czyha na pramaterię wszelkiej dziedziczności, na wszechdominującą DNA czy RNA.

Człowiek przetrwał we wszystkich epokach istnienia ziemi tyle elementarnych katastrof, tak się oswoił z nimi, że przestał wierzyć w możliwość zagłady. Umysł ludzki uprawia higienę swoistego rodzaju. Planuje chętnie na 5 lat, ostatecznie na 10 lat. Wyższe cyfry zniechęcają go do zastanowienia się nad katastrofą wiszącą nad pokoleniem, powiedzmy, w ósmym stuleciu po naszym. Po nas — potop! Jednym słowem strusia polityka.

Thomas Robert Malthus, wielki uczony i humanista (XVIII-XIX w.), zwrócił uwagę na niepokojący wzrost ludności świata, a ograniczone środki należytego wyżywienia przyszłych pokoleń. Uważano go za ekscentryka, chorującego na typowo angielski spleen. Dopiero 30 lat temu dalekowzroczni biologowie i lekarze powrócili do niepokojów Malthusa, kiedy szalone postępy nowoczesnego lecznictwa przesunęły przeciętną życia do 70 lat. Do wszystkich kłopotów socjologii dołączyła się troska, jak przekształcić społeczeństwo, obciążone nadmierną ilością ludzi starych i nieproduktywnych.

Istota, zwana już człowiekiem, pojawiła się po raz pierwszy na ziemi, drogą ewolucji z niższych gatunków zwierzęcych, przed pół milionem lat.. Znakomici matematycy zgodzili się, że od tej chwili aż do roku 6.000 przed Chrystusem 12 bilionów (bi-

lion równa się tysiącu milionów!) przyszło na świat. Od roku 6.000 przed Chrystusem do połowy XVII wieku — 42 biliony, od połowy XVII wieku do roku 1962 — 23 biliony. W sumie: około 80 bilionów, od chwili zaistnienia człowieka na ziemi.

Liczba ludności świata w r. 1962 wynosiła 3,05 biliony. Licząc się z jej podwajaniem co 37 lat, osiągniemy za 800-1.000 lat liczbę, którą najlepiej wyrazić przez 10 do potęgi 16-tej lub 18-tej. Proszę napisać na kartce papieru 10 i dodać 16 lub 18 0 (zer), a następnie próbować wyrazić tę cyfrę słowami.

Konsekwencje podobnej eksplozji, czekającej nas już wkrótce, powinny wzbudzić alarm. Dzisiaj umiera 12 tysięcy ludzi dziennie z głodu lub następstw niedożywienia. Po 40 latach dalszego niedbalstwa 8 milionów rocznie będzie padało ofiarą tej katastrofy. Przyrost ludności wynosi rocznie 2,5%, środków spożywczych — 1,5%. Zaznacza się wyraźna i niepokojąca dysproporcja. Nieszczęsne Indie żywią dzisiaj poważną część ludności 900 kaloriami dziennie, zamiast minimalną ilością to jest 1.500 kalorii.

Aby uczyć dzieci na całym świecie korzystamy dzisiaj z usług 10 milionów nauczycieli. W roku 2.000 ich liczba powinna wzrosnąć do 60 milionów, podobnie jak lekarzy z 1,5 miliona do 7 milionów. Wręcz niemożliwe do osiągnięcia cele.

Jeśli pragniemy posuwać się etapami, to, jak już wspomniałem, po 37 latach 6 bilionów homines sapientes będzie deptało ziemię, po 260 latach — 400 bilionów, po 370 latach — 3 tysiące bilionów. Aż się w głowie przewraca!

Powierzchnia ziemi i wszystkich oceanów wynosi 500 milionów kilometrów kwadratowych, tak, że po 4 wiekach przypadnie na każdego człowieka 1/3 morga. Ciasno, lecz ostatecznie... można się jakoś zmieścić. Co jednak dalej?

Dzięki światłu słonecznemu następuje fotosynteza tj. konieczna dla życia roślin asymilacja dwutlenku węgla. Dla wymaganej ilości roślin, uwzględnivszy zapotrzebowanie olbrzymiej ludności, energia słoneczna, w dzisiejszym nasileniu, okaże się niedostateczna. Nil desperandum, można ją zwiększyć. Ustawi się reflektory na satelitach, krążących w orbitach, i one dostarczą dodatkowej energii słonecznej. Aby podwoić naturalną energię słońca, z której dzisiaj korzystamy, należałoby stworzyć aluminiowe lustra, ważące około 30 milionów ton i te umieścić na satelitach. Teoretycznie... problem do rozwiązania. Pewne kłopoty jednak powstaną. Dodatkowe promieniowanie spowoduje wszędzie na ziemi warunki, jakie panują dzisiaj na równiku. Nastąpi wyparowanie oceanów i koniec procesów życiowych.

Obecnie korzystamy hojnie w życiu codziennym z dwóch źródeł energii, z węgla i nafty. Wiemy o tym dobrze, że nie są wieczne i że w niedalekiej przyszłości ulegną zupełnemu wyczerpaniu. Już dzisiaj oglądamy się za innymi.

W każdej tonie zwykłej, granitowej skały mieszczą się na jeden milion części skały cztery części uranu (0,0004%) i dwanaście części thorium (0,00012%). Ta ilość substancji nuklearnych, rozbita w reaktorze, darzy energią równą aż 50 to-

GRYF PUBLICATIONS LTD

Paweł Zaremba

## HISTORIA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

WYDANIE DRUGIE PRZEJRZANE I POPRAWIONE

Cena 45 sh.

KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W.7.



nom węgla. Jak dotychczas, trudności techniczne nie pozwalają na wydobycie całej ilości uranu i thorium, lecz jedynie 15% ogólnej zawartości. Przeprowadzając więc rewizję naszego rachunku, stwierdzimy że z jednej tony skały zdołamy zrobić wyciąg, reprezentujący energię, równą 7-8 tonom węgla.

Jeden ziemski mieszkaniec zużywa rocznie energię, pochodzącą ze spalania 10 ton węgla. W niedalekiej przyszłości liczba ludności globu wyniesie 7-8 bilionów. Trzeba ją będzie zaopatrzyć w energię dostarczoną przez 50.000 ton uranu rocznie tzn. sproszkować 20 bilionów ton skały rocznie. Nie próbujemy łamać sobie gowy nad praktycznym rozwiązaniem zadania. Radioaktywność atmosfery przy tego rodzaju zabiegach zabije każde życie. A jeśli nawet unikniemy tej zagłady, to ostatecznie i nuklearne źródło ulegnie wyczerpaniu. Wobec takich ponurych perspektyw zapaleni biologowie odwracają się ze wzdrganiem od technologów i patrzą z ufnością na mistrza Darwina, który ustalił, że człowiek nie stworzony od razu w najdoskonalszej postaci, ale w ciągu milionów lat, drogą powolnej ewolucji, przeobrażał się z niższych gatunków w typ homo sapiens. Zażarci biologowie spekulują, że dzięki temu mechanizmowi ewolucji, dalszej selekcji i przeżyciu najlepiej dostosowanych, powstanie z czasem nadezłowiek, zdolny żywić się syntetyczną namiastką, przebywać w przestworzach, emigrować na inne planety lub zamieszkiwać oceany. Karykaturzyści i również konserwatywni teologowie chętnie powracają od tych fantazji, aby ośmieszyć teorię i jej fanatycznych wyznawców.

Genialny Darwin, jak wiadomo, stoczył homerycki bój, zanim jego nauka zwycięsko przebiła wszystkie uprzedzenia i trudności. Zwalczano go godziwymi, a częściej niegodziwymi środkami. Do nieprzejednanych przeciwników należał bardzo zdolny biskup Wilbeorce, który najchętniej spaliłby kacerza na stosie. W r. 1860 British Association urządziło reprezentatywne zebranie, poświęcone dyskusji nad teorią ewolucji. Gorącym rzecznikiem darwinowskiej tezy był sławny przyrodnik T. H. Huxley. Gdy skończył swoje wywody, podniósł się biskup i zapytał złośliwie: Czy szanowny prelegent wywodzi swoje po-

chodzenie od małpy ze strony ojca czy matki?

Odpowiedź Huxleya była druzgocąca: „Wielebny biskup nie wniósł do dyskusji żadnego nowego faktu, ani nie przytoczył ważnego kontrargumentu, poza pytaniem o moich przodków. Nie przyszłoby mi na myśl poruszać tak osobisty temat, ale na życzenie dostojnego prałata jestem gotów do spotkania się z nim na tej platformie. Gdyby mnie zapytano, czy wolę mieć za dziadka nędzną małpę czy człowieka wielce utalentowanego i posiadającego przemożne środki, a jednak nadużywającego swego uprzywilejowanego stanowiska do wprowadzenia śmieszności do poważnej dyskusji, nie zawahałbym się oddać pierwszeństwa małpie“. Czcigodny biskup zrezygnował z dalszych wystąpień publicznych i do końca życia cierpiał z powodu niebacznej demagogii.

Dzisiaj żaden prawdziwy uczony lub szanujący się teolog nie ważyłby się na atak skierowany przeciw ewolucji. Byłby on zresztą, jeśli chodzi o możliwość dalszej roli ewolucji w kształtowaniu się gatunku ludzkiego, zbyteczny. Wszystko przemawia za tym, że człowiek osiągnął najwyższy stopień rozwoju i że nie należy liczyć na jego zdolność do przystosowania się do przyszłych, nieprzyjaznych warunków. Dalsze pokolenia nie będą się wielce różniły od dzisiejszych i można śmiało nasze kategorie bytowania przykładać do nich.

Zatrzymałem się przy Darwinie nieco dłużej z bardzo interesującego powodu. Każdy wielki uczony i myśliciel czuje od czasu do czasu potrzebę ucieczki od swoich problemów. Darwin chętnie czytał Milтона, również, rzecz wielce ciekawa, Malt-

Biblioteka „Kultury“

seria DOKUMENTY

## KOMUNIZM Z LUDZKĄ TWARZĄ

Plan reformy ustroju komunistycznego w Czechosłowacji z r. 1968 zdławiony następnie przez Rosję Sowiecką i nowe kierownictwo stalinowskiej kontrreformacji.

Cena: 18/6 sh. — 2.25 dol. — 10 fr.

Księgarnia SPK

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

husa, nie jako autora poważnych rozpraw, ale marzycielskiego malarza przyszłości. W rezultacie — Darwin przyznał się, że Malthusowi zawdzięczał ideę, która rozstrzygnęła o powodzeniu teorii ewolucyjnej. Walkę o byt, przedstawioną tak dramatycznie przez Malthusa, przeniósł Darwin na świat roślinny i zwierzęcy, zrozumiał, że korzystna mutacja, korzystne odchylenie pod jakimś względem fizycznym czy umysłowym, daje takiemu osobnikowi lepsze szanse przetrwania, a jego potomnym dalszego przechowania i doskonalenia korzystnej cechy aż do wytworzenia nowego gatunku. Jeden dowód więcej, że każda myśl geniusza jest zapładniająca i prowadzi do nowych pomysłów lub odkryć na odcinkach pozornie odległych od pierwotnego punktu wyjścia. Malthus ma poważną zasługę w obdarzeniu ludzkości teorią, która zmieniła zapatrywania na powstanie i rozwój świata.

GRYF PUBLICATIONS LTD.

*Już się ukazał*

## PORADNIK

DLA WYCHOWAWCZYŃ PRZEDSZKOLI

*Opracowanie Zrzeszenia Nauczycielstwa Polskiego  
Zagranicą*

KSIAZKA NIEZBEDNA W REKACH KAZDEGO NAUCZYCIELA  
POLSKICH SZKÓŁ SOŁOTNICH

Do nabycia:

Cena: 10/-

KSIEGARNIA S.P.K. — 20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

# KRAJ KONTRASTÓW

**W**ZAŁOŻENIACH teoretycznych system komunistyczny działa planowo. Ma to obowiązywać zwłaszcza na odcinku gospodarczym. Między innymi na czoło wysuwana jest zasada centralnej państwowej kontroli cen. Tymczasem w praktyce różnie z tym bywa. Okazuje się np., że w Polsce Państwowa Komisja Cen nie panuje wcale nad sytuacją rynkową, czego dłużej nie można już ukrywać. Wiele cen na artykuły przemysłowe powszechnego użytku ustala się przypadkowo po linii interesów poszczególnych przedsiębiorstw z całkowitym lekceważeniem interesu społecznego i opinii publicznej.

Stan ten ujawniono na jesieni ub. roku podczas posiedzenia Sejmowej Komisji Planu Gospodarczego, Budżetu i Finansów, która analizowała wykonanie budżetu państwa. Zaznaczmy od razu, że sejm i jego komisje nie posiadają żadnego realnego wpływu na decyzje i postępowanie instancji wykonawczych władz PRL. Spełniają tylko rolę elementów dekoracyjnych „władzy ludowej“ i pozorują instytucje demokratyczne. Dlatego, gdy w jakiejś dziedzinie dzieje się wyjątkowo źle władze wykonawcze pozwalają komisjom sejmowym na publiczne zasygnalizowanie z dawna znanych nieprawidłowości. Tak się też stało ze sprawami centralnej komisji cen.

Komunikat PAP ogłoszony w wyniku tej analizy podał, że „Państwowa Komisja Cen“ powinna szczególnie wiele uwagi poświęcić zjawiskom krytycznie ocenianym przez społeczeństwo i zakłócającym tryb funkcjonowania gospodarki“. Ponadto dowiedzieliśmy z tego komunikatu, że krytyka komisji sejmowej dotyczyła „nieuzasadnionego technicznie i społecznie wycofywania z produkcji i obrotu artykułów tańszych i wprowadzania na ich miejsce towarów o podobnych właściwościach, lecz droższych“. I wreszcie wypłynęła na wierzch sprawa tolerowania przez Państwową Komisję Cen „nieuzasadnionego wzrostu rozpiętości między cenami skupu i cenami sprzedaży detalicznej“ oraz wręcz oszu-

kańczego śrubowania cen fabrycznych wielu artykułów.

Wszystko to gra na niekorzyść budżetów rodzinnych zwykłych obywateli, gdyż ogranicza ciągle i tak zbyt powolny wzrost stopy życiowej. Wiadomo zresztą, że opinia publiczna od dawna domagała się ukrócenia tych oszukańczych praktyk, lecz władze PRL zbyt się nimi nie przejmowały. Jaki będzie skutek poruszenia tej kwestii na komisji sejmowej trudno przewidzieć, bo jak nadmieniał sejm jest dziś instytucją bez praktycznego znaczenia. Być może jednak, że dla pozorów i pewnego uspokojenia opinii publicznej Państwowa Komisja Cen ukróci wreszcie część tych oszukańczych praktyk. Pozostanie jednak nadal faktem, że, ogólnie biorąc, centralny system kontroli cen pozbawiony oparcia w opinii publicznej stanowi fikcję planowania na tym odcinku. Jest to zarazem dowód, iż Państwowa Komisja Cen toleruje już od lat oszukiwanie obywateli przez tzw. „uspołeczniony“ handel.

## KTÓRY SĄD MA RACJĘ?

Zdarzyło się niedawno, że dwa różne sądy na Wybrzeżu Gdańskim rozpatrywały jakim kursem przeliczać dolary? Sąd, który rozpatrywał skargę marynarza o zaliczenie mu do renty inwalidzkiej morskiego dodatku dewizowego uwzględnił wprawdzie to żądanie, lecz jednocześnie polecił, aby dodatek dewizowy przeliczać kursem oficjalnym tzn. po 25 złotych za dolara. Tymczasem inny sąd, który w tym czasie załatwiał skargę państwa przeciwko pewnemu marynarzowi za przywłaszczenie jakiejś kwoty dewiz wydał wyrok, aby marynarz zwrócił je państwu kursem po 75 zł. za dolara. Innymi słowy sprawiedliwość „ludowa“ ustaliła, aby roszczenia dewizowe państwa wobec obywatela były wyrównane kursem trzykrotnie wyższym niż świadczenia dewizowe państwa na rzecz obywateli.

Na marginesie tej pierwszej sprawy warto nadmienić, że dodatek dewizowy dla marynarzy i rybaków dalekomorskich, którego wartość

równa się drugiej pensji, stanowi pewnego rodzaju kwotę wyrównawczą między niskimi zarobkami w kraju, a wysokimi zarobkami pracowników morza w krajach Europy Zachodniej. Stanowi to potwierdzenie faktu, że nawet w opinii władz PRL siła nabywcza zarobków pracowniczych w Polsce jest co najmniej dwukrotnie niższa niż w wolnych krajach naszego kontynentu.

Natomiast fakt nieuwzględnienia tego dodatku dewizowego przy ustalaniu wysokości rent inwalidzkich i emerytur przysługujących marynarzom i rybakom stanowił przez 15 lat nieuczciwą machinację władz. Znamienne jest również, że nie wystąpił w tej kwestii Związek Marynarzy i Portowców, lecz czekano tak długi okres, aż znalazł się marynarz, który wystąpił z tą sprawą indywidualnie.

## SPRAWDZIAN CZASU WOBEK HASEŁ PZPR

Dwadzieścia dwa lata temu przemawiając w Katowicach na naradzie „przodujących górników“ Gomułka zapewniał opinię robotniczą, że ustrój firmowany przez komunistów ma przewagę nad wszystkimi innymi ustrojami, gdyż — jak podkreślał — może „podnosić poziom życiowy narodu w tempie o wiele szybszym, aniżeli byłoby to możliwe w warunkach ustroju kapitalistycznego“.

Na tej podstawie szef partii komunistycznej domagał się wówczas od polskich górników zasadniczego zwiększenia wydajności pracy, gdyż — jak ich zapewniał — „w niedługiej przyszłości“ górnicy i cała klasa robotnicza Polski będą korzystać z „socjalistycznego dobrobytu“.

Od tamtej pory minęły 22 lata, wyrosło nowe pokolenie, ale obietnice „socjalistycznego dobrobytu“ nie chcą się spełniać. Wprost przeciwnie, wzrost stopy życiowej mas ludowych jest pod rządami komunistów tak słamazarny, że trudno go dostrzec. A przecież wymagania ludzkie rosną dziś z każdym pokoleniem i z każdym rokiem stają się coraz większe!

Górnicy zaliczają się w Polsce do najlepszej grupy zarobkowej. Śred-



nia ich wynagrodzeń jest blisko dwukrotnie wyższa od średniej wynagrodzeń w skali całego kraju. Ale mimo to zarobki górników polskich pozostają daleko w tyle za wynagrodzeniami górników w innych krajach Europy. Co gorzej rozpiętość tych wynagrodzeń na niekorzyść górników stale rośnie, co w oczywisty sposób przeczy propagandowemu zapewnieniom Gomułki sprzed 22 lat.

Oto konkretne dowody. Międzynarodowa Organizacja Pracy w Genewie, z którą władze PRL także współpracują, ogłosiła niedawno zestawienie informacyjne o wzroście zarobków w poszczególnych krajach w dziesięciolecie 1957-1967. Z tabeli tej wynika, że zarobki górników francuskich podniosły się w tym czasie blisko dwukrotnie, górników zachodnio-niemieckich — dokładnie dwukrotnie, belgijskich o 64%, a angielskich, którzy już wcześniej zaliczali się do „arystokracji zarobkowej” — o 52%. Tymczasem wynagrodzenie polskich górników, pozostające za płacami zachodnimi daleko w tyle — poprawiło się w tym okresie zaledwie o 36%. Oznacza to więc dalszy wzrost rozpiętości wynagrodzeń na niekorzyść naszego górnictwa. Podobnie ma się też sprawa z wynagrodzeniami górników w NRD, na Węgrzech czy w Czechosłowacji.

Tak przedstawia się wymowa faktów w zestawieniu z obietnicami komunistów, że pod ich rządami robotnicy osiągną rychło wyższy poziom stopy życiowej i bardziej sprawiedliwe wynagrodzenia.

## PLANOWANE BEZROBOCIE

Skoro jesteśmy przy sprawach społeczno-gospodarczych warto poruszyć te zagadnienia z założeń Narodowego Planu Gospodarczego PRL na rok 1970, które dotyczą polityki zatrudnienia i płac. Okazuje się bowiem, że pod tym względem nowe komunistyczne kierownictwo gospodarcze nie zerwało ze starymi metodami, chociaż w dziedzinie inwestycji i zarządzania uwzględniono szereg nowych nieco bardziej praktycznych rozwiązań.

Główną cechą nowego planu — jak to oświadczył na komisji sejmowej obecny szef planowania Józef Kulesza — ma być „obowiązek powszechnej oszczędności”. Nie ma co

do tego zastrzeżeń, gdy **o** zagadnienia z odcinka inwestycyjnego. Szeroki gest planistów poprzedniej ekipy Stefana Jędrzychowskiego, którzy nie znali umiaru i nie doceniali rachunku ekonomicznego, kosztował Polskę i całe nasze społeczeństwo setki miliardów złotych utopionych w obiektach o niskiej efektywności gospodarczej lub zgoła niecelowych. Można się więc zgodzić, że ostrożność i oszczędność w tej dziedzinie jest bardzo pożądana.

Inaczej wszakże ma się rzecz z oszczędnościową polityką zatrudnienia i płac. Cięcia planu na tym odcinku nie mogą społeczeństwa cieszyć, lecz przeciwnie muszą niepokoić. W końcowym efekcie spowodują bowiem albo zamrożenie stopy życiowej, albo co najmniej poważne ograniczenie obiecywanego wcześniej jej wzrostu. Trzeba również pamiętać, że kontynuowanie polityki niskich płac nie będzie sprzyjało wzrostowi wydajności pracy. Oto wymowa cyfr ilustrujących te problemy:

Globalny fundusz płac wzrośnie w roku 1970 o 5,2% w czym uwzględniono już wynagrodzenia dla nowych pracowników wchodzących na rynek pracy. Natomiast globalny przyrost produkcji przemysłowej wyrazi się wskaźnikiem znacznie wyższym — bo 7,3%. Nawet po uwzględnieniu drobnej poprawki na procentowo niższy przyrost produkcji pozaprzemysłowej jest to kalkulacja wybitnie nieuczciwa. Oznacza programowanie wycisku pracy skoro wskaźnik przyrostu funduszu płac nadal ma być ukształtowany na gorszym poziomie od wskaźnika wzrostu produkcji.

To jedna kwestia. Inne obawy wywołuje sprawa nowych i to gwałtownych cięć w polityce zatrudnienia. Oficjalne komunikaty podkreślają ogólnikowo „znaczne zmniejszenie dynamiki” na tym odcinku. Władze komunistyczne najwyraźniej zdają sobie sprawę, że drastyczne cięcia w tej dziedzinie natrafią z miejsca na ostre sprzeciwy społeczeństwa. W konkretnych cyfrach oznacza to, że władze planują zatrudnić, w tym roku tylko 184 tysięcy nowych pracowników, gdy poprzednie wersje planu mówiły o wzroście zatrudnienia o 320 tysięcy osób. Jak z tego widzimy, jest to cięcie blisko dwukrotnie, lecz co najgorsze, pozostawia poza

możliwością zarobkowania ok. 140 tysięcy osób, które w tym roku powinny podjąć pracę. Jest to więc klasyczne opanowanie bezrobocia, najprawdopodobniej ukrytego, gdyż wydziały zatrudnienia nie wykazują rzeczywistego stanu osób poszukujących pracy i poza wyjątkowymi wypadkami nie wypłacają bezrobotnym zapomóg. Mówi się tylko, że w pewnych rejonach kraju są „nadwyżki siły roboczej”.

Jakie są przyczyny tej nagłej decyzji władz komunistycznych?

Nie ulega żadnej wątpliwości, że wiąże się to ściśle ze złym zaopatrzeniem rynku wewnętrznego. Komisja Planowania wiedząc o tym i nie potrafiąc dostarczyć na rynek odpowiedniej masy towarowej, uciekła się do środków administracyjnych i przez obniżenie poziomu zatrudnienia zmierza do ograniczenia siły nabywczej społeczeństwa. Potwierdzają to zresztą inne informacje dotyczące wskaźników planu. Na przykład, wzrost dostaw rynkowych wyniesie 6,9%, co przy znacznym przyroście ludności i stałym ruchu cen jest zdecydowanie niewystarczające.

Jest rzeczą znaną, że drastyczne ograniczenie przyrostu zatrudnienia wymierzone jest w pierwszym rzędzie przeciwko robotnikom, zwłaszcza przeciwko liczniejszemu rodzajowi pracowniczemu. Wiadomo bowiem, że w ostatnich latach — co w pełni potwierdzają oficjalne statystyki GUS — głównym czynnikiem poprawy warunków bytowych rodzin robotniczych był wysoki przyrost zatrudnienia, gdyż poprawa stopy życiowej miała miejsce przede wszystkim w tych rodzinach, w których zwiększyła się ilość osób zarobkujących. Obecne ograniczenia w tej dziedzinie uderzą w pierwszym rzędzie w kobiety, które poszukują pracy oraz dorastającą młodzież z wyżu demograficznego, której część już w ostatnim roku miała poważne trudności ze zdobyciem odpowiedniego zatrudnienia.

Trzeba koniecznie podkreślić, że cała operacja z wielkimi cięciami w polityce zatrudnienia odbyła się przy pomocy środków administracyjnych, co tym bardziej kompromituje władze komunistyczne. Świadczy o tym między innymi fakt, że przewodni-

(Dokończenie na str. 12)

**W** ZWIĄZKU z trudnościami gospodarczymi Anglii europejska prasa i ekonomiści określają w swych wypowiedziach ten kraj jako „chorego człowieka Europy“.

Określenie to jest trafne, albowiem kłopoty gospodarcze Anglii i wyprzedenie jej, przez liczne kraje zachodnioeuropejskie w dziedzinie dochodu narodowego i dobrobytu ludności nie jest następstwem ubóstwa kraju, lecz złej i chaotycznej gospodarki narodowej oraz przestarzałego i niekonsekwentnego systemu prawnego.

Wprawdzie po pierwszej wojnie światowej Ameryka stała się najbogatszym krajem na świecie, ale jeszcze do r. 1939 Anglia była niewątpliwie na drugim miejscu w tym względzie w skali światowej, zarówno jeżeli chodzi o zasoby gospodarcze kraju jak i stopę życiową.

Dziś nie ulega wątpliwości, że niektóre kraje zachodniej Europy (przede wszystkim Niemcy Zachodnie) wyprzedziły Anglię w dziedzinie dobrobytu i stopy życiowej ludności, ale nie znaczy to, że są bogatsze od niej jeżeli chodzi o zasoby gospodarcze, które często trudne są do porównania i nie zawsze są uchwytne, chociaż są wypadki rzucającej się w oczy dysproporcji między bogactwem narodowym, a jego wykorzystaniem dla dobra mieszkańców danego kraju. Np. w Niemczech Zachodnich przypada znacznie mniej pomieszczenia na głowę ludności niż w Anglii. Mimo to nie odczuwa się tam głodu mieszkaniowego, podczas gdy w Anglii wielu ludzi po prostu nie ma gdzie mieszkać.

### PROBLEM MIESZKANIOWY

Głód mieszkaniowy może być zaspokojony w drodze spełnienia

(Dokończenie ze str. 11)

czący Komisji Zatrudnienia i Płac, Michał Krukowski, jeszcze na dwa tygodnie przed ogłoszeniem wskaźników planu posługiwał się innymi cyframi, chociaż już zapowiedział restrykcje w tej dziedzinie. Wskazuje to, że nie liczone się przy tej operacji z rzeczywistym stanem rynku pracy, lecz ustalano plan wyłącznie pod kątem oszczędności na funduszu płac. Innymi słowy, przy ustalaniu wskaźników planu gospodarczego nadal nie liczą się w tej ważnej dziedzinie potrzeby społeczeństwa, lecz wygoda administracji.

ALEKSANDER STAMBROWSKI

## Głód mieszkaniowy

dwóch zasadniczych warunków:

1) przez wykorzystanie do ostatnich granic istniejących domów mieszkalnych i utrzymanie ich w dobrym stanie;

2) przez budowę dużej ilości nowych domów.

W normalnych i pokojowych czasach wykorzystanie istniejących zasobów mieszkaniowych i utrzymanie domów w dobrym stanie nie może polegać na regulacji przez władze wysokości komornego i ochronie lokatorów, a tym bardziej na przymusowym „zagęszczaniu przestrzeni życiowej“, jak jest w Sowietach, lecz wymaga stworzenia takich warunków, aby wszyscy właściciele domów mogli pobierać ekonomiczne (opłacalne) komorne, regulowane prawem wolnego rynku, jak jest w każdej innej dziedzinie produkcji i działalności gospodarczej. Np. gdyby ustawa nakazała szewcom sprzedawać buty poniżej ceny skóry i robocizny, nikt nie szyłby obuwia i ludzie musieliby chodzić boso.

Jeżeli chodzi o budowę nowych domów mieszkalnych konieczne jest stworzenie takich warunków i bodźców ekonomicznych, aby opłacała się osobom i przedsiębiorstwom prywatnym budowa domów czynszowych bez ryzyka utraty użytego na ten cel kapitału.

Budowa i administracja domów mieszkalnych przez państwo lub samorząd z natury rzeczy nie może, jak wykazała praktyka, zaspokoić głodu mieszkaniowego ze względu na biurokratyczne podejście do istoty zagadnienia i związane z tym wysokie koszty budowy i administracji.

Te zasady stosuje polityka mieszkaniowa rządu Niemiec Zachodnich i dlatego pomimo strasznego zniszczenia podczas ostatniej wojny miast i osiedli nie odczuwa się braku mieszkań w tym kraju.

W N.R.F. bowiem wolno pobierać od lokatorów ekonomiczne czynsze, co przyczynia się do wykorzystania istniejących zasobów mieszkaniowych do ostatnich granic, a budując nowe domy mieszkalne otrzymują od państwa wszelkie ulgi i pomoc w postaci tanich kredytów, zwolnienia od podatku na pewien czas no-

wo wybudowanych domów z dochodów uzyskanych z już istniejących domów itp.

W Anglii osoby prywatne nie otrzymują od państwa pomocy przy budowie nowych domów, lecz wręcz przeciwnie państwo pobiera od nich haracz w postaci „Selective Employment Tax“, tj. podatku pogłównego, płaconego przez przedsiębiorców budowlanych od każdego zatrudnionego pracownika. Podatek ten z natury rzeczy musi być wliczony przez budowniczych do kosztów budowy domów. Po wybudowaniu zaś domu nie wolno właścicielowi, zgodnie z prawem o ochronie lokatorów, pobierać ekonomicznego czynszu, aby móc pokryć wygórowane koszty budowy.

W konsekwencji w Anglii budowa prywatnych domów czynszowych prawie całkowicie ustała i sytuacja mieszkaniowa z roku na rok pogarsza się.

Jeżeli chodzi o reperację starych domów to władze samorządowe udzielają ich właścicielom na ulgowych warunkach pożyczek na ten cel. Niewiele jednak osób zaciąga te pożyczki, gdyż część pożyczonych pieniędzy zabiera państwo w postaci podatku pogłównego od zatrudnionych przy reperacji robotników i nie wolno podwyższyć komornego do tego stopnia, aby móc spłacić dług.

Rezultatem tego jest zamienianie się coraz więcej strukturalnie zdrowych domów w rudery i stałe zmniejszanie się ilości prywatnych właścicieli domów czynszowych, co wybitnie przyczynia się do wzrostu głodu mieszkaniowego.

Do tego dochodzi rzucające się w oczy i rażące niewykorzystanie nadających się jeszcze do zamieszkania domów. Częste są wypadki, że staruszka zajmuje kilka pokoi, sama mieszkając w jednym lub dwóch jako tzw. „sitting tenant“ („żelazny lokator“) na mocy ustawy z 1916 r., zabraniającej podwyższenia komornego z tego czasu i usunięcia lokatora. Nic więc dziwnego, że w tych warunkach niektórzy właściciele domów nie dbają o to, aby wydzierżawiać wolne mieszkania i domy i dlatego stoją one puste. Mają o to słu-



# w Anglii

szą pretensję, chociaż skierowaną nie pod właściwym adresem tzw. „squatters“, którzy niekiedy okupują puste domy.

Niedawno, widząc że sprzedawca w sklepie napoi alkoholowych, należącym do wielkiej firmy, ma mieszkanie na miejscu, zapytałem go czy mieszkanie jest dobre. Sprzedawca ów powiedział mi, że jest dobre i zawiera 7 pokoi, z których tylko 2 używa, a 5 pokoi stoi puste.

Na moje pytanie dlaczego nie wdzierzawi tych 5 pokoi sprzedawca powiedział mi, że jego umowa z firmą na to nie pozwala, dodając, że gdy był zatrudniony w innym sklepie miał do dyspozycji aż 11 pokoi, sam zajmując tylko 2.

## JAK DO TEGO DOSZŁO?

Podczas pierwszej wojny światowej ze zrozumiałych i uzasadnionych względów wydano w Anglii ustawę o ochronie lokatorów, która dotyczyła wyłącznie mieszkań nieumeblowanych. Było to posunięcie podyktowane wyjątkowymi okolicznościami.

Podobna ustawa istniała podczas i po pierwszej wojnie światowej w Polsce z tą tylko różnicą, że w Polsce nowo wybudowane domy i te stare, w których dokonano „kapitałnego remontu“, nie podlegały ustawie o ochronie lokatorów.

Wskutek tego zaraz po wojnie ludzie zaczęli na dużą skalę reperować stare i budować nowe domy. Dużo domów budowały spółdzielnie mieszkaniowe, które do dnia dzisiejszego faktycznie nie istnieją w Anglii. W konsekwencji po upływie pewnego czasu prawie nie było domów podlegających prawu o ochronie lokatorów i prawo to stało się martwą literą. Od tego czasu nie odczuwano się głodu mieszkaniowego.

## REGLAMENTACJA PO DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ

W Anglii ten stan rzeczy trwał aż do końca drugiej wojny światowej.

Ze względu na to, że umeblowane pokoje i mieszkania nie podlegały ustawie o ochronie lokatorów ustało prawie całkowicie wynajmowanie lo-

kali nieumeblowanych i lokatorów nie będący „sitting tenants“ zostali zmuszeni do płacenia dużo wyższego komornego niż płaciliby gdyby nie było ustawy o ochronie lokatorów, przy czym cena domów bez „sitting tenants“ wzrosła zawrotnie, podczas gdy domy będące pod ochroną lokatorów można było kupić za psie pieniądze. Brakowało tylko nabywców.

Po drugiej wojnie światowej prawdopodobnie w celu usunięcia tej anomalii i nie licząc się z przesłankami ekonomicznymi wydano ustawę o ochronie lokatorów mieszkających w pokojach umeblowanych.

Na mocy tej ustawy trybunały czynszowe są uprawnione do określenia wysokości komornego mieszkań umeblowanych i dania tzw. „security of tenure“ czyli pozbawienia właściciela domu prawa usunięcia lokatora na określony okres czasu (3 miesiące) z prawem przedłużenia tego terminu do nieskończoności.

Z biegiem czasu rygory przeciw właścicielom domów zaostrzono. Obecnie trybunały czynszowe są uprawnione do orzeczenia „security of tenure“ aż do 6-ciu miesięcy z prawem przedłużenia terminu nieusuwalności lokatorów do nieskończoności.

Nawet w wypadku gdy trybunał czynszowy orzeknie termin kiedy lokator winien opuścić mieszkanie nie wolno obecnie właścicielowi domu usunąć go bez orzeczenia sądu.

W tym wypadku najbardziej rażący jest przepis, że zanim trybunał orzeknie usunięcie lokatora nie wolno właścicielowi domu zwrócić się do sądu, chociażby lokator był bardzo uciążliwy i przykry, a nawet nie płacił komornego — czyli ustawa daje prawo władzy administracyjnej zamknięcia obywatelowi drogi sądowej. We wszystkich innych demokratycznych i praworządnych krajach prawo obywatela zwrócenia się do sądu w każdej sprawie i w każdym czasie jest zastrzeżone w konstytucji, jako prawo organiczne i nie naruszalne przez jakikolwiek akt ustawodawczy. W Anglii było to

możliwe dlatego, że nie ma pisanej konstytucji jako prawa nadrzędnego.

## OBECNA TENDENCJA

W każdej sytuacji skrępowanie inicjatywy prywatnej w drodze ustawodawstwa państwowego nie może być absolutnie skuteczne, gdyż są ludzie, którzy zawsze znajdą sposoby i środki jeżeli nie obejścia prawa to przynajmniej przystosowania się do niego we własnym interesie.

Obecnie po zaostrzeniu rygorów przeciw wynajmującym umeblowane pokoje wielu z nich zamienia swe domy na hotele, lub sprzedaje je hotelarzom, albowiem hotele nie podlegają ustawie o ochronie lokatorów. W centralnym Londynie hotelarze kupują zazwyczaj kilka przyległych domów i po przebicciu ścian tworzą dostatecznie duże hotele, aby można było je ekonomicznie eksploatować i mieć poważne zyski.

Z wynajęciem pokoi w hotelach nie ma kłopotu, albowiem coraz więcej ludzi nie mając gdzie mieszkać musi korzystać na stałe z tego rodzaju pomieszczeń, płacąc rujnujące ich komorne. Sytuacja ta żywo przypomina zanikanie w międzywojniu dzierżawy nieumeblowanych mieszkań na rzecz umeblowanych pokoi.

Sytuacja taka jest niezmiernie niepomyślna zarówno dla właścicieli domów, zwłaszcza tych z przedmieść, którzy nie mogą zamienić swych domów na hotele lub sprzedać ich hotelarzom, jak i lokatorów, albowiem na dłuższą metę rujnuje jednych i drugich.

Co nowego hotelarze wykombinują w wypadku ewentualnego wydania ustawy o ochronie lokatorów mieszkających w hotelach i urzędnicy zaczną zaglądać do ich garnków, trudno przewidzieć. Jedno jest tylko pewne, że i w takim wypadku ustawa przyczyni się do wzrostu głodu mieszkaniowego i podwyżki komornego tych osób, które nie będą jej podlegały.

## KOSZTY

Stosowanie w praktyce ostatniej ustawy o ochronie lokatorów jest niezmiernie kosztowne i uciążliwe.

Trybunały czynszowe zajmują okazałe gmachy, w których mogliby

(Dokończenie na str. 14)



**M**OJA przyjaciółka Beata, w kwiecie lat 50, wyszła za mąż za pana dużo od niej starszego w ściśle określonym celu, aby jak najprędzej zostać bogatą wdową. W sekretnych, między przyjaciółkami rozmowach Beata dokładnie wylicza swoje widoki na samotną przyszłość, co, jak i ile, a robi to tak zręcznie, że nigdy z jej różanych ust nie wymknie się słowo o ewentualnej śmierci męża, od której zależy realizacja jej planów. Dwanaście lat upłynęło już od czasu, gdy Beata postawiła na przyszłe wdowieństwo; przez ten czas uciulała okazałą ilość brylantów czystej wody, minki „black diamond“ i inne futerka, ofiarowane przez potencjonalnego nieboszczyka na zabezpieczenie Beaty przyszłości, oraz szereg nieruchomości. Ostatnie jej noworoczne zwierzenia ograniczały się do wieszania psów na rzędzie Labour, który zabierze jej 60 tysięcy podatku spadkowego. Skandal, skarżyła się, a co będzie jak w międzyczasie wciąż żywy mąż jeszcze bardziej ją zabezpieczy, przecież podatek zrukuje ją.

Poradziłam Beacie, aby dla zachowania pewnych proporcji, przeczytała dwie książki dotyczące śmierci i związanych z nią implikacji. Nie, krzyknęła, ona nie chce nawet myśleć o śmierci, a cóż dopiero czytać, chyba że w książkach tych znajdzie

## MINA TOMKIEWICZ

coś na temat omińnięcia podatku spadkowego, czy mogłabym je pożyczyć jej. Odmówiłam dla zasady, możesz sobie kupić, powiedziałam. Spytała o cenę, a gdy wymieniłam sumę około 4 funtów za obie, oburzyła się: „Oh, nie, na to nie mogę sobie pozwolić!“, i poszła owinięta czarnymi minkami i zapachem perfum „Je t'aime“. Zła na mnie, że tak niezręcznie i nietaktownie poruszyłam sprawę tego, o czym się nie mówi.

Te dwie książki to „Śmierć, ból i żaloba“, dra Geofreya Gorera, i „Zainteresowanie człowieka śmiercią“, zbiorowa praca filozofów i naukowców, dra A. Toynbee, profesorów H. H. Price, Niniana Smart i Eryka Rhode, Miss Rosalind Heywood, dra S. Yudkina i innych. A dydaktyczną historyjkę o Beacie opowiedziałem, żeby zachęcić czytelników do ich przeczytania, bo w wielu wypadkach strusia polityka wobec śmierci doprowadza do chorób psychicznych i fizycznych, które tę śmierć przyspieszają, a także wpływa negatywnie na stosunek do ludzi, spraw i rzeczy, z którymi mamy do czynienia za życia.

W naszych czasach dzikiej gonitwy, żeby dojść wyżej, żeby mieć

## GLÓD MIESZKANIOWY ...

mieszkać bezdomni, zatrudniając dużo dobrze płatnych członków trybunałów, którzy przed wydaniem orzeczenia muszą kolegialnie (3 osoby) odwiedzić mieszkanie, policzyć i opisać wszystkie graty i szmaty, a następnie również kolegialnie rozstrzygnąć sprawę. W wyniku tego powstają stosy papierów, które piszą hordy urzędników.

Poprzednio lokator nie mógł zwrócić się do trybunału czynszowego po otrzymaniu wypowiedzenia mieszkania. Obecnie ustawa daje mu to prawo. Wskutek tego prawie każdy po otrzymaniu wypowiedzenia skarży je przed trybunałem, a spraw takich są miliony. Przeciążone i przeładowane pracą trybunały czynszowe słusznie domagają się powiększenia ilości trybunałów i personelu, a władze nie mogą im tego odmówić.

Ponadto sądy („County Courts“)

są przeładowane i zatkane sprawami o eksmisje.

Wszystko to kosztuje grube pieniądze, za które można byłoby zbudować dużo nowych domów i zreperować starych, a tym samym złagodzić głód mieszkaniowy.

Argument, że jeżeli pozwoli się pobierać ekonomiczne komorne, biedni ludzie nie będą mogli go płacić, nie jest przekonujący. Nie można bowiem z tego powodu rujnować ekonomicznie kraj i narażać jego obywateli na gorsze zło. Jedynym sposobem zaradzenia temu jest udzielenie przez opiekę społeczną z funduszy ogólnonarodowych zapomóg osobom nie mogącym płacić wolnorynkowego komornego.

„Z pustego nawet Salomon nie naleje“ mówi przysłowie. W dziedzinie polityki mieszkaniowej Anglicy usiłują tego dokonać.

## To, o czym

więcej, w czasach kiedy niewiarygodne osiągnięcia nauki utwierdzają nas w przekonaniu, że nie ma rzeczy niemożliwych, z naszą własną nieśmiertelnością włącznie — odwracamy przezornie oczy od „mane, tekel, ufarsin“, wypisanego ogniowymi literami na każdym samolocie, na każdej cegle, na każdym nowym meblu. Jak kiedyś seks, śmierć stała się tabu, tym, o czym się nie mówi, o czym się nie chce nawet myśleć. Do starego aksjomatu, że umierają zawsze inni, dodałabym jeszcze typowe dla naszych czasów zblazowanie tymi cudzymi śmierciami, które widzimy „na żywo“ w kinie, w telewizji, w teatrze, które powtarzają się ze statystyczną dokładnością, pochłaniając miliony ofiar z wypadków drogowych czy samolotowych, lub w wyniku nieograniczonych możliwości nowoczesnej broni, ze zdalnie kierowaną bombą atomową na czele, milion razy silniejszą niż ta z Hiroshimy. Zapominamy, że od chwili urodzenia śmierć jest także częścią nas samych, boimy się, wstydzimy nie tylko mówić o niej, ale nawet i myśleć. Pokrywamy ją całunem milczenia, chowamy w niedostępne głębiny naszych mózgów i serc, albo jak już nie możemy inaczej, obchodzimy ją bokiem, odeszli, mówimy o zmarłych, nie są już z nami, oddali duszę Bogu. Inni, nie my. Westchnienie, łezka i szybko przechodzimy do sprawy nowego stołowego, czy nieudanej toalety.

Tym niemniej, jak to wykazuje rzeczywistość, tabu jakim stała się śmierć, wpływa w wielkim stopniu na rozmaite neurozy naszego wieku niepokoju, zapelnia zakłady dla psychicznie chorych i szpitale, zwiększa gwałtownie ilość samobójstw. Intelktualna ucieczka przed śmiercią nie tylko nie odsuwa jej, ale i przeszkadza ludziom w wykorzystaniu życia póki ono jest. Doprowadza do strachu przed życiem, od którego z kolei uciekamy w iluzje narkotyków, w ramiona seksu. Tak samo my, zwyczajni ludzie, jak i artyści, którzy w artystycznej formie oddają nasze przeżycia, duchowe i inne.

A przecież nie ulega wątpliwości, że z artystycznego punktu widzenia

# się nie mówi

Śmierć jest tematem znacznie bardziej produktywnym i interesującym, niż seks. Największe arcydzieła literatury światowej poruszają sprawę śmierci, podczas gdy seks został zwulgaryzowany przez dzisiejszych i wczorajszych twórców i, w większości wypadków, stał się pornografią. Prawda, istnieje także pornografia śmierci, wynikająca z obsesyjnego opisywania czy pokazywania potworności i strachów, ale jest ona niczym w porównaniu z pornografią seksu.

Lecz wróćmy do owych dwóch książek, które wywołały ożywioną polemikę w kołach naukowców, a których znajomość może przydać się także i nienaukowcom, w ich szarym, codziennym życiu, tak czasem beznadziejnym, a tak zawsze pożądanym.

Zacniemy od „Zainteresowania człowieka śmiercią“ (wydawnictwo Hodder i Stoughton, 45 sh.), bo jest bardziej ogólna. Na pierwszy plan wysuwa się w niej praca dra Toynbee, który konfrontuje śmierć w sposób bardzo ludzki i wnikliwy. Epilog, w którym wzruszająca opisuje swoje własne uczucia wobec grożącej mu perspektywy śmierci, stanowi, moim zdaniem, najlepszą część książki, łączą filozoficzne podejście z pełną współczucia uwagą wobec ludzkiego nieszczęścia oraz pogodną akceptacją ludzkiego losu.

Podejście dra Toynbee dalekie jest od naukowego sceptycyzmu XX wieku, w duchu którego piszą inni współautorzy antologii, ze szkieletem mędrca w oku wpatrzni w stopy kwestionariuszy, statystyk i ankiet. (Np. „Większość Anglików wierzy w Boga albo w something like Him“ — prof. Smart). Ich prace, pełne medycznego i socjologicznego żargonu, operują krótkimi zimnymi tezami, ferują wyroki w dziedzinie, która przez millenia nie została zbadana i zgłębiona. Uważają oni, że z punktu widzenia naukowego śmierć nie istnieje. Albo raczej istnieje wtedy, kiedy dr Christian Barnard czy inni uczeni poszukiwaniu zastępczych części ludzkich, stwierdzają, że zaistniała.

W części „Granice spekulacji“ p. Heywood i prof. Price zajmują się życiem pośmiertnym, a to w oparciu o udane eksperymenty psychiczne i mediumistyczne. Z podanych przez nich przykładów wynika czasami, że życie w zaświatach niewiele różni się od życia na ziemi, tyle tylko, że jeszcze brak Frosta, żeby przeprowadzał wywiady z prominentnymi duchami.

Eric Rhode daje nam kompetentne chociaż niewyczerpujące i raczej ubogie w treści sprawozdanie odnośnie tematu śmierci w powieści XX wieku; poezje Hardy'ego, wzruszający opis śmierci matki Morela w „Synach i kochankach“ — Lawrence'a, sentymentalne tasiemce Joyce'a, ukryty w naszej podświadomości „obcy“ — Camusa. Rhode całkiem słusznie podkreśla, że dla wielu współczesnych pisarzy, a szczególnie dla producentów dreszczowców, jak Ian Flemming i inni, ludzie są tak zbyteczni i łatwi do zastąpienia jak puszki od konserw. I że różną media komunikacji propagują i rozpowszechniają bez końca fantazje i prawdy na temat gwałtownej śmierci w najbardziej wymyślnych postaciach, śmierci niepotrzebnej i pozbawionej wszelkiej godności.

Warto w tym miejscu wspomnieć o pominiętej przez Rhoda pięknej książce Simone de Beauvoir o śmierci jej matki, „Bardzo łatwa śmierć“. Autorka uważa śmierć za straszliwą klęskę narzuconą nam z góry, z którą należy obchodzić się, jak ze wszystkimi innymi narzuconymi klęskami takimi, jak choroby zakaźne czy bezrobocie. Takie podejście do śmierci wysuwa na czoło naukowców jak dr Barnard, którzy ludzi traktują jak stare auta. Psuje się karburator, mechanizm czy śrubki — zmień na inne. A u człowieka — serce, wątroba, nerki, czy nawet genitalia, zastąpić, gdy stare psują się. Ale czy to odpowiedź na sprawy życia i śmierci?

Żaden z autorów Antologii nie wołuje się na religię i na duchowe elementy ludzkiego życia i śmierci, które przecież w wielu wypadkach tę śmierć ułatwiają, czynią ją pię-

kną, a czasem nawet pożądaną. Dla nich śmierć można znośić ze stoickim spokojem, można mieć do niej gniewną pretensję, redukują ją do pornografii gwałtu lub do słabych nadziei nauki. Nikt z nich nie podkreśla — jak to czynią poeci i prorocy, ludzie wierzący i ci, którzy idą na śmierć z pogodą w imię swoich ideałów — że śmierć może nie być strasznym i nie do ominięcia końcem, ale radosnym początkiem.

W przeciwieństwie do uczonych dysertacji i transcendentalnego wishful thinking autorów Antologii praca dra G. Gorera „Śmierć, ból i żaloba“ (Wydawnictwo Cresset Pres) zajmuje się społecznymi i psychologicznymi konsekwencjami, jakie powoduje dla osieroconej rodziny mentalna represja śmierci przez niedotkniętych nią osobiście. Gorer uważa, że konsekwencje te są tak poważne dla ludzi żywych, że należałoby stworzyć nowy rytuał żałoby, który by zastąpił stary, nieaktualny, a często nawet krzywdzący.

Wobec tego, że „spotkanie w Samarze“ jest nieuchronne dla każdego, a stosunek do śmierci i żałoby ulega zmianom w zależności od wyznawanej religii, od środowiska, czasu i innych czynników, warto także zapoznać się z pracą Gorera i wyciągnąć z niej odpowiednie wnioski, szczególnie, że napisana jest bardzo przystępnie i przepojona głębokim współczuciem dla ludzkiego cierpienia.

Na samym początku Gorer opisuje swoje własne przeżycia z okresu żałoby — raz w związku ze stratą ojca, który zginął w katastrofie okrętu „Lusitania“, gdy Gorer miał lat dziesięć, a drugi raz — po śmierci ukochanego brata, gdy autor miał lat 56. W tym drugim wypadku zaobserwował on efekt śmierci bliskiej osoby nie tylko na sobie samym, ale także na wdowie, Elżbiecie. Oto co pisze na ten temat:

„Gdy niedługo po śmierci brata zapraszano mnie na coctails i przyjęcia, odmawiałem, tłumacząc się żalobą; zapraszający reagowali na moje oświadczenie zdumionym zakłopotaniem... Wydawało się, że gdybym podał, iż zaproszenie koliduje z jakąś ezoteryczną orgią, odnieśliby się do odmowy z zrozumieniem i jowialną zachętą; że jednak podałbym prawdziwą przyczynę, wymamrotali



coś, bez wielkiego sensu i ulotnił się szybko. Mimo że byli to ludzie wykształceni i inteligentni, chcieli jednak, nawet za cenę niekulturalnego zachowania, uniknąć wszelkiego kontaktu ze śmiercią.“

„Także przyjaciele Elżbiety i jej zmarłego męża unikali jej, traktując ją jak trędowatą. Dopiero, gdy zaczęła zachowywać się, jakby nie poważnego nie zaszło, stała się znów towarzysko „do przyjęcia“... Elżbieta nie nosiła żałoby, ani nie odprawiała żadnego żałobnego rytuału. Zjadał ją ból w dosłownym tego słowa znaczeniu; zapadła w głęboką i przewlekłą depresję, a to dlatego, że w okresie, gdy najbardziej potrzebowała pomocy i pociechy od społeczeństwa, pozostawiono ją zupełnie samą.“

Badania przeprowadzone przez Gorera i jego asystentów na 359 ludziach w żałobie, z różnych środowisk i miejscowości, wykazały, że nie wszystkie warstwy społeczne są tak przeciwne rytuałowi żałoby i wyrażaniu uczuć, jak inteligencja zawodowa, o której była mowa wyżej. Ze swej strony mogą dodać, że żydowski zwyczaj, wedle którego osierocona rodzina przez 7 dni od pogrzebu nie rusza się z domu żałoby, przyjmując niezliczone kondolencje bliższych i dalszych przyjaciół i znajomych, daje doskonałe wyniki, jeżeli chodzi o ukojenie pierwszego bólu, wobec czego praktykuje go coraz więcej ludzi, nawet agnostyków i nie mających nic wspólnego z religią.

Psychiczne i fizyczne skutki bólu w samotności, bez moralnej pomocy ze strony otoczenia, można porównać do ciężkiej choroby. Niewyłażone cierpienie może doprowadzić do najgorszego. Ze 100 osób, z którymi Gorer przeprowadził długie wywiady, kilkanaście z nich znajdowało się w stanie krańcowej rozpaczki jeszcze po roku od śmierci bliskiej osoby, a w innych wypadkach żałoba przyjęła formę „mumifikacji“, tj. ludzie zachowały dom i rzeczy należące do zmarłego tak jak były za jego życia.

Rezultaty badań Gorera i jego ekipy świadczą o tym, że „choć religijne obrządki są praktykowane uniwersalnie i chociaż jedyna praktyczna pociecha wyraża się w terminach religijnych, doświadczenie za-

łoby nie umacnia wiary, ani nie powiększa publicznych czy prywatnych praktyk religijnych“. Tym niemniej wiele ludzi osieroconych zachowuje głęboki żal, że te obrządki odbywają się za szybko i w wielu wypadkach są pozbawione godności oraz współczucia, jakie należy zachować wobec pozostałych w żałobie.

W rozdziale „Jak powiedzieć dzieciom“ Gorer stwierdza, że większość brytyjskich rodziców opowiada dzieciom o Bogu czy o Chrystusie jak o postaciach z bajki. Pewna kobieta, praktykująca Żydówka, użyła następującej metafory: „Powiedziałam dzieciom, że dziadek poszedł do nieba. Nie kłamiąc starałam się jednak zmienić fakt jego śmierci w rodzaj bajecznej historii“. Albo, co jest jeszcze gorsze, dzieci utrzymuje się w nieświadomości. „Po śmierci ich ojca, nie powiedziałam dzieciom, czekałam, aby dowiedziały się o tym w szkole“, przyznała się pewna wdowa.

Trudno jednak winić rodziców za ich tchórzostwo czy „wstydlivość“ w obliczu śmierci, gdy tak wielu lekarzy, nawet ci opłacani z funduszków społecznych czy państwowych, aby opiekowali się chorymi i ich rodzinami, nie są w stanie rozmówić się z nimi szczerze i udzielić moralnej pomocy pacjentom odnośnie faktu grożącej im śmierci. Albo, gdy społeczeństwo, wyrażające swoje nastawienie przez politykę czy biurokrację, traktuje wdowy i ich osierocone dzieci, jakby nie należały im się specjalne względy. Gorer uważa, że zjawiska te są konsekwencją naszego nastawienia, że tak długo jak nie mówi się o tym, śmierć „przejdzie bokiem“. Umierają zawsze inni.

Nie ulega wątpliwości, że nasz świat stał się dla wszystkich bardziej interesujący, niż przyszły. W ustawicznym wirze interesów, w ciągłym pośpiechu, ludzie za daleko doszli, żeby znaleźć czas na śmierć. Nikt nie myśli o iluzorycznych wspaniałościach pozagrobowego życia, które stanowiły kojące „opium“ dla upośledzonych mas dnia wczorajszego. Dzisiaj ludzie oczekują zadowolenia z życia teraz i tylko teraz. Najważniejsze, żeby znaleźć maksimum przyjemności na tym doczesnym padole, a więc unikamy rzeczy nieprzyjemnych, bolesnych kontaktów, jak np. pocieszanie skoncentro-

wanej na swoim bólu wdowy czy też matki.

W rezultacie tego śmierć nie tylko rozdziela nas z ukochanymi ludźmi, ale także separuje nas w pewnym sensie od otoczenia, tak bardzo nam w chwilach bólu potrzebnego. Ludzie naokoło są bardzo zajęci i zafalowani, w stałej pogoni za często iluzorycznymi rozkoszami życia, wobec czego ci w żałobie pozostają sami, najwyżej z fotografią zmarłego, jak u Gorera wdowa w średnim wieku, której mąż zginął w wypadku motocyklowym.

Gorer uważa, że w wielu wypadkach kler różnych wyznań mógłby i powinien odegrać poważną rolę, nie tyle nawet z punktu widzenia religijnego, ale aby wobec ludzi w żałobie uzupełnić lukę pozostawioną przez ludzi jeszcze nie w żałobie.

Kiedy wracamy z cmentarza, obiecujemy sobie, że od tej pory będziemy inni, lepsi dla ludzi i dla siebie samych, nie przejmujemy się codziennymi kłopotami i głupstwami, tak nieważnymi w obliczu wszechobecnej śmierci. Z błyskawiczną szybkością zapominamy jednak o przyrzeczeniach jak i o samej śmierci. Zapominamy pozornie, bo pamięć o niej tkwi w nas jak drzazga, zatruwając nam życie niewygodnymi strachami i przecuciami.

PO DŁUGOLETNIJ PRZERWIE  
ZNOWU NA PÓLKACH  
KSIĘGARSKICH

## DZIAŁANIA 2 KORPUSU WE WŁOSZECH

Tom I.

z przedmową  
gen. Władysława Andersa,  
pod redakcją  
płk. dypl. dr S. Biegańskiego

Str. 664.

Wykazy, indeksy, szkice.

Oprawa płócienna.

Cena: 63/-.

Koszt przesyłki 4/6.

Należy zamawiać:

w Księgarni S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

**Odnowienie prenumeraty na  
czas to najlepsza pomoc dla  
pisma!**



# TEMATY PARYSKIE

## LENIN ZA ... IMPRESJONISTÓW

Wiele chwil pogodnych, a nawet wesołych, przeżyli Paryżanie w okresie ostatnich Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Przed samą Gwiazdką przyjechał na gościnne występy do opery paryskiej zespół moskiewskiego teatru Bolszoj. Dawano niezbyt proletariackie opery. Borysa Godunowa, Jewgienija Oniegina i kniazia Igora. Wraz z artystami ściągnęła nad Sekwanę pani Furcewa, minister kultury ZSRR. Witano ją i honorowano z gościnnością i serdecznością godną najlepszych czasów sojuszu Trzeciej Republiki z ostatnim carem Mikołajem II. Dzienniki opisywały jej toalety i futra, nazywały krasawicą, podziwiała jej elegancję. Za te wszystkie pochlebstwa i uprzejmości przyszło p. Furcewej zapłacić dość drogo: w wywiadzie, udzielonym przedstawicielowi Agence France Presse Sergiuszowi Gunzbergowi, musiała odpowiedzieć na pytania, dotyczące losu sowieckich intelektualistów, a zwłaszcza Sołżenicyna. Pani Furcewa, oburzając się na różne interwencje zagraniczne w obronie szykanowanego pisarza, powiedziała: „Jest to wewnętrzna sprawa sowiecka. My nie mieszamy się w to, jak wy załatwiacie wasze sprawy. Toteż nie będziemy tolerowali, by ktokolwiek, czy jakkolwiek pisarz, zajmował się naszymi sprawami“.

W toku dalszych wypowiedzi pani Furcewa ujawniła, że program wymiany kulturalnej francusko-sowieckiej na rok 1970-ty przewiduje nie tylko wzajemne tournées teatralne i baletowe, ale również urządzenie w Moskwie wystawy francuskich malarzy impresjonistów. Wysłane więc będą do Rosji obrazy Cezanne'a, Moneta, Renoire'a, Pissaro, Degasa. W zamian za to sowieciarze obiecują zorganizować w paryskim narodowym muzeum sztuki współczesnej wystawę ... Lenina. Ponieważ Władimir Ulianow nie był malarzem, a zwłaszcza impresjonistą — więc można przypuszczać, że na wystawie znajdą się jego podobizny, popiersia, portrety i posągi. Jedna taka rzeźba — jeśli pamięć nas nie

myli — znajduje się w Poroninie. Według opowiadań uchodźców z Polski miejscowi entuzjaści Lenina, chcąc go uczcić, włożyli mu któreś nocy na głowę pewne naczynie. Zarządzono śledztwo, ale sprawców nie wykryto. Czy posąg ten będzie też pokazany na wystawie paryskiej — jak dotąd nie wiadomo.

## AMBARAS Z KANONIERKAMI

Innym powodem do żartów była w okresie świątecznym głośna sprawa ucieczki pięciu kanonierek z portu Cherbourgskiego do Izraela. Kanonierki, zamówione przez rząd jerozolimski, a obłożone embargiem przez poprzedni rząd francuski za prezydentury de Gaulle'a, wyszły w morze po ciemku o 3 nad ranem w noc wigilijną i po kilku dniach zawinęły do portu w Haifie. Ogłoszono mnóstwo komunikatów, wyjaśnień i zaprzeczeń. Ich wspólną cechą było to, że wywoływały salwy śmiechu w całej Francji, zwłaszcza że nikomu nie stała się krzywda i że nikt strat finansowych nie poniósł.

Obserwatorzy znający Francuzów od dawna, są przekonani, że przebieg posiedzenia rządu, na którym rozpatrywano ten dramatyczny „incydent“ ze zbiegłymi kanonierkami, musiał należeć do najweselszych w dziejach Pałacu Elizejskiego. Może nie wszyscy ministrowie — jak np. minister obrony Debré, ortodoksyjny gaulista, obciążony główną odpowiedzialnością za skandal — byli w najlepszych humorach, ale trudno sobie wyobrazić, by inni członkowie rządu o poglądach bardziej liberalnych nie skorzystali z okazji i nie popisali się wrodzonym poczuciem humoru. W prasie gubiono się w domysłach na temat kwestii, jak prezydent Pompidou zachowa się wobec ambasadora izraelskiego na przyjęciu noworocznym: czy dostrzegłszy go zmarszczy groźnie brwi, czy też uśmiechnie się do niego półgębkiem. Śledzono też wyraz twarzy premiera po posiedzeniu rządu. Zapytany o przebieg zebrania Chaban-Delmas, nie mogąc powstrzymać uśmiechu, odparł: „Byłoby zdumiewające, gdyby na ra-

dzie ministrów nie mówiono o tych ścigaczach“.

Problemy, jakie polityka francuska musi rozwiązywać w stosunku do państw Bliskiego Wschodu nie są łatwe. Opinia publiczna, pomna na wywłaszczenie przez Nassera kanału Sueskiego — dzieła Lessepsa, — na wojnę algierską i na masowy exodus Francuzów z Algierii, żywi znacznie więcej sympatii do Izraela, niż do Arabów. Podobne nastroje panują w wojsku. Natomiast specjalne powiązania Francji z niepodległą Algierią oraz interesy gospodarcze, uzasadnione naftowymi bogactwami krajów arabskich każą rządowi dbać o dobre stosunki ze stolicami państw muzułmańskich.

## „JESZCZE JEDNA KLĘSKA — A OGŁOSIMY GO PROROKIEM“

Kwestia: z Izraelem, czy z Arabami jest wciąż dla Francji bardzo kłopotliwa i nie wydaje się, by w najbliższym czasie można było ją rozstrzygnąć. W każdym bądź razie Francuzi bardzo by sobie życzyli pojednania izraelsko-arabskiego. Opowiada się np. za takim pojednaniem wysłannik tygodnika „Le Nouvel Observateur“ Jean Daniel. Odwiedził on Kair po 6 latach, opisuje panujące tam nastroje stwierdza z zadowoleniem, że wulgarna propaganda antyizraelska w Egipcie już nie chwyta. W Kairze — pisze Daniel — ludzie patrzą dziś na wszystko znacznie trzeźwiej niż dawniej i nikt nikogo się nie boi. Można teraz z jakimkolwiek ministrem, czy wyższym urzędnikiem egipskim przeprowadzić rozmowę na każdy temat. System wojskowo-policyjny wprowadzony w swoim czasie przez Nassera zapadł się w klęsce. Nie ma już tej wzajemnej podejrzliwości... Dziś mówi się głośno o wszystkim, nie wyłączając Gamal Abdel Nassera... Na temat podania się przez Nassera do dymisji po klęsce i po wycofaniu tej dymisji na skutek demonstracji ludowych — kontynuuje dziennikarz francuski — wysunięto wiele przypuszczeń za wyjątkiem jednego, któ-

(Dokończenie na str. 18)

## O polskiej żonie

Przypadająca w roku bieżącym 200-letnia rocznica urodzin Napoleona sprawiła, że do olbrzymiej bibliografii dzieł poświęconych „bogowi wojny“ dochodzą nowe prace, a szpały różnorodnych czasopism wypełniają się artykułami i przyczynkami do historii tego najwybitniejszego wodza czasów nowożytnych i wpływu jaki wywarł podczas niewiele ponad 20 lat trwającej działalności na dalszy bieg historii. Spadkobierca rewolucji — położył jej zdobycze, zlikwidował monstrualne jej przerosty, kładąc równocześnie fundamenty pod nowoczesne państwo narodowe.

W krwi i znoju milionów przetasował państwa i narody europejskie i padł otwierając drogę „Świętemu Przymierzu“, nad którego dochowaniem czuwał odtąd „żandarm Europy“ — Rosja carów, która wówczas, wbrew jego woli, ale na skutek jego działalności, po raz pierwszy mogła zabrać głos w sprawach Europy jako całości.

W atmosferze przymusu narzuczonego narodom europejskim, tym zwłaszcza, które dzięki jego zwycięstwom zachłysnęły się na krótko wolnością, rosł kult Bonapartego. Zaczął się bardzo wcześnie, chyba od chwili kiedy w latach 1822-1825 zaczęły się ukazywać pamiętniki ze św. Heleny: Las Casesa, Montholona, doktora Antommarchi. Czytywał je żarliwie nawet uwięziony w Burgu i Schönbrunnie „król Rzymu“ — Na-

oleon II i „Franz — księżę Reichstadt“ w jednej osobie.

Kult Napoleona powstał dziwnym zbiegiem okoliczności i w Niemczech, kraju, który przemierzał on wielokrotnie i bił swymi wojskami i gdzie równocześnie obudził poczucie wspólnoty narodowej. Henryk Heine, wielbiciel Bonapartego, poświęcił mu swój piękny wiersz „Zwei Grenadiere“, z tragicznym, rozpaczliwym okrzykiem jeńca powracającego z Rosji: „Mein Kaiser, Mein Kaiser gefangen!...“.

We Francji wielokrotny minister Ludwika Filipa, Adolf Thiers, ublażał króla, aby zażądał od Anglików prochów wielkiego cesarza i wygnanie przywieziony został do stolicy, świadka triumfów i klęsk, i złożony w majestacie w Pałacu Inwalidów.

Tylko owemu kultowi Napoleona I zawdzięczał swą świetną początkowo karierę Napoleon III, zmniejszona edycja wielkiego cesarza. Historycy mają nawet podejrzenie, że w Napoleonie III nie płynęła wcale krew Bonapartych. Nominalnie był on synem Ludwika Bonapartego i Hortensji de Beauharnais, jego żony. Ponieważ jednak Hortensja była kochanką adiutanta Murata — Karola Augusta Józefa, hrabiego Flahaut de la Billarderie (nieślubnego syna Talleyranda) — być może, że ojcem Napoleona III był właśnie ten naj-

### TEMATY PARYSKIE

re — zdaniem pewnego dobrze zorientowanego obserwatora arabskiego — miało charakter sankcji karnej. Arab ten uważa, że Nasserowi polecono zachować zajmowane stanowisko uciekając się do następującego argumentu: „To ty, Nasserze, nasz ojciec, sprowadziłeś nas na manowce, więc teraz nas z tych manowców wyprowadź. Nie pozwolimy abyś w takiej sytuacji zdezerterował“. Gawędziarze, komentując fakt, że Nasser wciąż stoi na czele państwa, nie szczędzą mu okrutnej ironii. „Jeszcze jedna klęska — a ogłosimy go prorokiem“ — mówią.

W końcu korespondent „Le Nouvel Observateur“ relacjonuje roz-

mowę, przeprowadzoną z Arabami palestyńskimi i z uznaniem stwierdza, że okazywali oni zrozumienie dla przywiązania, jakie Izraelczycy mają do Palestyny. Rozmowa zeszła od razu na sprawę znalezienia sposobu współżycia dwu narodów na tej samej ziemi. Oto ostatni fragment korespondencji Daniela:

„Najbardziej optymistycznemu Palestyńczykowi powiedziałem, że w obecnej chwili jedynym punktem, który łączy Izraelczyków i Palestyńczyków, jest gotowość oddania życia za tę ziemię“. — Na to powiedział towarzyszącemu mu Egipcjanin: „Byłby już czas, abyśmy zamiast umierać — nauczyli się razem żyć“.

wiekszy uwodziciel w armii francuskiej. Jakkolwiek było — Napoleon „mały“ nie odziedziczył ani geniuszu „wielkiego“, ani szatańskiego sprytu napoleońskiego ministra spraw zagranicznych.

### „KŁOPOTY

#### Z PANIĄ WALEWSKĄ“

Jeszcze jednym łącznikiem między Polską i Napoleonem jest uroczą postać szambelanowej Marii Walewskiej — „polskiej żony cesarza“.

Doczekała się ona wielu, często entuzjastycznych wzmianek w pamiętnikach ludzi stojących blisko cesarza: wielkiego marszałka dworu — gen. Duroca, Constanta — kamerdynera Napoleona i innych. Pisały o niej również kobiety, nawet dość życzliwie, jak pani Nakwaska — kronikarka życia towarzyskiego Warszawy, Anetka z Tyszkiewiczów Potocka. Ta ostatnia chwali urodę Marii, określa ją jednak jako „nijaką umysłowo“, co musiałoby źle świadczyć o wysiłkach Mikołaja Chopina, ojca Fryderyka, który kierował edukacją młodych Łączyńskich.

W roku bieżącym wyszła w Polsce książka Mariana Brandysa pt. „Kłopoty z panią Walewską“<sup>\*)</sup>.

— Dlaczego kłopoty? — zapyta czytelnik. Jakież kłopoty mógł mieć historyk z tą piękną i dobrą kobietą, wierną upadłemu zwycięzcy aż do ostatka? Ona to podążyła do Fontainebleau w nocy z 12 na 13 kwietnia 1814 r., w dniu kiedy złamany brzemieniem klęsk cesarz próbował popełnić samobójstwo. Czekala daremnie godzinami, aby zobaczyć go przed wyjazdem na wygnanie. Ona to, nie Maria Ludwika, odwiedziła go z synem na Elbie. Ona wybrała się z małym Aleksandrem do Malmaison po klęsce pod Waterloo i ofiarowała się podzielić z nim wygnanie. Nie przyjął tej ofiary. Przynęcił wezwać ją do siebie jeżeli pozwoli na to bieg wydarzeń. Nie uczynił tego, pozostał wierny Marii Ludwice i królowi Rzymu. Jeszcze przed „stu dniami“, a

<sup>\*)</sup> Marian Brandys — Kłopoty z panią Walewską. Iskry. Warszawa, 1969. Str. 239, 1 nłb. 16 tablic.



# NAPOLEONA

B.D.I.C

nawet przed wyjazdem na Elbę, w dniu kiedy Maria czekała płacząc aby ją dopuścił do siebie, napisał do żony: „Ciebie kocham najbardziej na świecie. Moje zmartwienia dręczą mnie przede wszystkim dlatego, że Tobie sprawiają ból... Ucałuj mego syna... Żegnaj, droga Ludwiko. Twój...” — Mała, niemądra arcyksiężniczka austriacka była już wówczas daleko myślami od upadłego mocarza. Opiekował się nią wyznaczony przez ojca r. Neipperg. I podobno została jego kochanką jeszcze podczas pobytu cesarza na Elbie. W każdym razie, jako księżna Parmy urodziła swemu opiekunowi troje dzieci jeszcze za życia męża.

Jak więc pani Walewska, która nigdy nie sprawiła kłopotu swemu cesarskiemu kochankowi, może pośmiertnie przyczyniać kłopotów historykom?

## „SKANDALICZNY PROCES“

Sprawa jest skomplikowana i Brandy przeprowadza na oczach czytelników cały przewód sądowy. Okazało się bowiem, że materiały otrzymane z „murowanego“ — zdawałoby się — źródła, z „historycznej“ biografii pióra prawnika Marii — hr. Filipa Antoniego d’Ornano — opartej na pamiętniku, listach, dokumentach i notatkach Marii, nie są wiarygodne. A spadkobiercy autora nie dopuszczają nikogo do tych dokumentów. Ba, więcej jeszcze — hr. d’Ornano, na kilka dni przed śmiercią wytoczył proces o plagiat znanemu historykowi-biografistcie Janowi Savant, który opierając się na jego książce: „Marie Walewska l’épouse polonaise de Napoléon“ napisał dla Librairie Hachette biografię szambelanowej pt. „Marie Walewska“. Już po śmierci powoda spadkobiercy bronili jego praw autorskich twierdząc, że książka została oparta całkowicie na fantazji, że jest powieścią, nie pracą naukową. Na żądanie obrońców Savanta, aby dopuszczono ich do oryginalnych materiałów, wdowa stwierdziła wobec sądu, że dokumenty takie wcale nie istnieją. Savant przegrał proces i skazany został na wypłacenie rodzinie d’Ornano odszko-

dowania. Biografia, która przed wydaniem książkowym drukowana była w piśmie kobiecym „Elle“ i stała się przyczyną procesu, nie ujrzała nigdy światła dziennego.

Rozgoryczony historyk, który zniechęcony spadkobierców Marii, a nawet jej samej niewinnej przyczyny jego nieszczęść, napisał w swej obronie książkę: „L’affaire Marie Walewska“, w której udowodnił punkt po punkcie, że zmarły Filip d’Ornano jest historykiem, że rzekoma „powieść“ jest biografią historyczną, że „absolutna większość przytoczonych w niej faktów, okoliczności i dokumentów znajduje pokrycie w historii“, że rozmowy przeprowadzane przez Filipa d’Ornano z redaktorami, wydawcami i historykami świadczą, iż istnieją archiwalia w Branchoire, rodzinnym zamku hrabiów d’Ornano. Znalazł również w archiwach notariuszy miasta Tours zapiski wskazujące na datę odnalezienia tych papierów przez Filipa. Broniąc swej sprawy — obronił dobre imię Filipa d’Ornano jako pisarza.

„Skandaliczny proces“ skończył się w ten sposób, że Librairie Hachette zamiast poprzedniej książki wydała „L’affaire Marie Walewska“. Argumenty w niej przytoczone sprawiły, że sąd apelacyjny uchylił wyrok I instancji i zwolnił Jana Savant od winy i kary.

## SKĄPE ŹRÓDŁA

Czytelnik zapyta pewnie na jakich materiałach oparta była głośna książka Gąsiorowskiego „Pani Walewska“, jeżeli papiery Marii ukryte były zawsze w zamku Branchoire.

W końcu ub. wieku Frédéric Masson, znany francuski historyk-napoleonista, autor „Etudes napoléoniennes“, dotarł do paryskich Walewskich, potomków Aleksandra, którzy posiadali również rodzinne archiwum i otrzymał pozwolenie na ich wykorzystanie. Istniały bowiem trzy kopie pamiętników Marii, spisane pod jej dyktandem dla trzech jej synów: Antoniego Bazylego Walewskiego — syna szambelana i Marii, Floriana Aleksandra Józefa Walewskiego — syna Napoleona i Marii, oraz Rudolfa Au-

gusta hr. d’Ornano — syna generała (później marszałka) Augusta hr. d’Ornano i Marii. Pierwszy rękopis który, raz przysłany, nigdy nie opuścił Polski, przechowywany był ostatnio w Bibliotece Przeździeckich w Warszawie i spłonął prawdopodobnie wraz z biblioteką podczas II wojny światowej. Do drugiego dotarł Masson, trzeci znajduje się w Branchoire i jest własnością hr. d’Ornano.

Masson częściowo streścił a częściowo przepisał pamiętnik Marii i wydał go jako szkic biograficzny w roku 1893. W cztery lata później włączył go do swej pracy pt. „Napoléon et les femmes“. W szkicu tym nie podaje Masson źródeł z których czerpał, prócz pamiętnika Marii. Daty podane przez nią przytoczył bez korekty, Maria zaś dyktując swe notatki w czasie ostatniej choroby robiła w nich omyłki. Ponieważ pamiętnik miał ją rehabilitować w oczach męża i synów — przeinaczała może trochę fakty, pozując się na heroinę, która całkowicie poświęciła się dla Ojczyzny. A że szczupła praca Massona była jedynym źródłem do życia pani Walewskiej, z którego korzystali wszyscy historycy, omyłki te i przeinaczenia utrwaliły się na długi czas.

Najdramatyczniejsze były, jak wiemy, losy trzeciej kopii pamiętnika, jakkolwiek nigdy nie opuściła zamku w Branchoire i ukryta była w starej sekreterze, nie otwieranej od 100 lat. Tutaj parę szczegółów o prawnikach Marii.

Po I wojnie światowej prawnik jej, porucznik Guillaume d’Ornano, przybył do Polski wraz z kapitanem de Gaulle. Odwiedzał on kilkakrotnie Kiernozię, miejsce urodzenia Marysi Łączyńskiej, Walewice, szperał tam w archiwach i zbierał informacje na temat kultury i obyczajów polskich. W końcu ożenił się z piękną Polką, panną Michalską z Trawnik pod Lublinem, i zabrał ją do Francji. W kilkanaście lat później przyjechał do Polski jego starszy brat — Philippe-Antoine d’Ornano, historyk i literat. Zajął się on fachowo sprawą prababki. Po powrocie do Branchoire znalazł w zaniedbanej sekreterze papiery Marii. Wkrótce potem wydana została w Montrealu w Kanadzie jego „Opowieść o życiu i miłościach Marii Walewskiej“. Zbeletryzowana biografia zainteresowała filmowców i powstał w 1937 roku film oparty na

tej książce, przy czym korzystano również z angielskiego przekładu powieści Gąsiorowskiego. Panią Walewską kreowała Greta Garbo.

Ale polscy napoleoniści skrytykowali pracę prawnika. Marian Kuciel rozprawił się z nią w dwóch obszernych szkicach polemicznych: „Żywot bajeczny Marii Walewskiej“ (1939) oraz „Prawda i bajki o pani Walewskiej“ (1957).

W r. 1953 odkryto nieznane dotąd listy Napoleona do „słodkiej Marii“. Jakaś nieujawniona z nazwiska osoba wystawiła na licytację plik listów cesarza do Walewskiej. Spadkobiercy wnieśli protest, listy zostały skonfiskowane i wróciły do prawego właściciela — Rogera Walewskiego. Przed śmiercią swą w katastrofie samolotowej tenże Roger udzielił ze swego archiwum 15 nie publikowanych dotąd listów Napoleona do Marii historykowi Andrzejowi Castelot, który wykorzystał je w swej pracy biograficznej pt. „Napoléon“. Obszerna ta książka ukazała się w marcu 1968. (Listów Marii do cesarza nigdy nie odnaleziono — może niszczył je z obawy przed zazdrością Józefiny?).

W r. 1963, podczas ślubu bratanka zmarłego Filipa — Huberta d'Ornano — z Izabelą Potocką, zwrócił się Brandys za pośrednictwem przyjaciół we Francji o pozwolenie skorzystania z archiwum w Branchoire. Mimo polskiego małżeństwa — nowożeniec odmówił tłumacząc: „Wszystko, co było przeznaczone do publikacji, znajduje się w książce hrabiego d'Ornano“.

## PAMIĘTNIK MARI

Janowi Savant uda.o się jednak dotrzeć do papierów pozostałych po Massonie, który przed śmiercią w roku 1923 przekazał całą swą spuściznę pisarską Instytutowi Francji. Walcząc o swój honor historyka opublikował on w całości w swej polemicznej książce odpis Massona z niewydanych drukiem pamiętników Marii Walewskiej. W odpisie tym zachowały się obszerne partie oryginalnego tekstu. W relacji Marii nie ma dat i najczęściej nie ma także nazwiska a tylko inicjały, które Masson dosyć dowolnie rozszyfrowuje, a daty uzupełnia. Stąd prawdopodobnie wywodzą się także omyłki hr. d'Ornano. W pamiętniku znajduje się relacja o spotkaniu Napoleona w Błoniu. Z po-

równania dat oraz szczegółów przyjazdów Napoleona do Warszawy wynika jednak, że spotkanie to nie nastąpiło w Błoniu 19 grudnia 1806, lecz w Jabłonie 1 stycznia 1807 roku. Po upływie 10 lat Maria mogła pomylić daty i miejsce, tym bardziej, że długi czas mieszkała zagranicą.

Krótki ten fragment zawiera sprawozdanie z kolejnych spotkań i rozmów. Maria przypomina ciągle cesarzowi o danym jej przyrzeczeniu wskrzeszenia Polski. Napoleon odpowiada: „Możesz być pewna, Mario, że przyrzeczenie które dałem, będzie spełnione. Widzisz już przecież częściowe jego wypełnienie. Zmusiłem Prusy do oddania tej części, którą chwyciły. Czas zrobi resztę. To nie chwila, aby dokonać wszystkiego. Trzeba mieć cierpliwość. Polityka, to sznur, który pęka, kiedy się go nadmiernie napręża“. Innym razem mówi: „Wiesz dobrze, Mario, że kocham twój naród. Moje intencje, moje poglądy polityczne, wszystko skłania mnie ku temu, by pragnąć jego całkowitego odrodzenia. Chcę dopomóc jego wysiłkom, poprzeć jego prawa. Uczynię na pewno wszystko co będzie w mojej mocy, jeżeli nie naruszy to moich obowiązków i interesów Francji. Sądzę jednak, że dzielą nas zbyt wielkie różnice. To co mogę zrobić dzisiaj może jutro ulec zniszczeniu.“

Ale przede wszystkim mam obowiązki wobec Francji. Nie mogę pozwolić na przelewanie krwi francuskiej dla sprawy obcej interesom Francji; nie mogę uzbroić mego narodu, żeby biegł na pomoc, ilekroć to będzie potrzebne.

Ze względu na niepewną przyszłość wysuwam na wszelki wypadek konieczność poprawy losu mas, choćby to było zrobione kosztem zamków, aby rozwinąć te siły powszechne, które mogą stać się trwałą podstawą i zmusić waszych wrogów do milczenia“.

Kontrast bogactw i zbytku w wyższych sferach narodu i nędzy wśród mas akcentuje Napoleon wielokrotnie w tych rozmowach: „Wasi obywatele zostali wyniesieni do wielkości zbyt osobistej, pozwoliliście im na to. Uczynili małymi tych, którzy ich otaczają i którzy by to — być może, lepiej od nich zrobili. (...) Duch rodziny, tego czysto osobistego dobrobytu, zdusił w wybitnych ludziach cnoty obywatelskie, którymi

wyróżniali się i chlubili ich przodkowie“.

Pamiętnik Marii kończy się z wyjazdem Napoleona do Warszawy. Może też być, że spadkobiercy Walewskiej udostępniłi Massonowi tylko fragment jej wspomnień.

## MARSZAŁKOWA D'ORNANO

Wiemy, że pani Walewska nie na długo przeżyła upadek Napoleona. Miała typowo polską cechę: była wierna w nieszczęściu i ciężko przeżywała jego klęskę życiową. Zdrowie jej ucierpiało na tym.

Spotkanie w Malmaison było zakończeniem jej zobowiązań i możliwości pomocy. Maria owdowiała, jakkolwiek już w sierpniu 1812 roku otrzymała rozwód i nie łączyło jej nic z szambelanem prócz syna, który się u niej wychowywał. W życie jej wchodzi gen. August Ornano, którego zresztą znała od dawna. Ślub ich odbył się 18 stycznia 1817 roku w Brukseli. Po podróży poślubnej do Włoch państwo d'Ornano osiedli w willi na przedmieściu Brukseli. W tym okresie życia Marii możemy już polegać na relacji prawnika. W pierwszej części swej książki usiłował on zrobić z prababki heroinę, która całkowicie poświęciła się dla dobra ojczyzny, mieszkała się do polityki, wpłynęła na kampanię austriacką, grała niemal rolę Joanny d'Arc. W sprawozdaniu o małżeństwie z hr. d'Ornano nie trzeba już wchodzić na koturny. Jest to smutna historia krótkotrwałego małżeństwa dwojga kochających się ludzi, których rozdzieliła śmierć.

Będąc w ciąży jedzie Maria do Polski, do sławnego ginekologa warszawskiego, który był przy urodzeniu Aleksandra. Nie czuje się dobrze. W liście do męża pisze: „Nie chcę ukrywać przed Tobą, że czuję się trochę słaba. Niekiedy miewam przecucie czegoś, czego się lękam. Robię co mogę, aby się temu nie poddawać. (...) Nic nie pomaga, nawet myśl o dziecku śpiącym we mnie. To głupie opętanie i dziś po południu, kiedy będę w Kiernozi, pomodłę się jeszcze raz w kaplicy i odnajdę siłę, aby śmiać się z tych moich strachów...“

Lekarz jest zaniepokojony stanem jej zdrowia. Stwierdza krańcowe wyczerpanie organizmu i zastarzałą chorobę nerek, która pod wpływem ciąży uległa groźnemu zaostrzeniu. Nie pozwala jej karmić dziecka. Po po-



wrocie do Belgii, 9 czerwca 1817 r., rodzi Maria synka, Rudolfa-Augusta. Dziecko jest zdrowe duże, ale zdrowie matki, która mimo zakazu lekarza sama karmi małego, gwałtownie się pogarsza. Cierpi, zdaje się, na kamicy nerkową. Porządkuje swe notatki i zaczyna dyktować p. Carité pamiętniki swego życia. „Otulona koldrami i pledami, a mimo to drżąca z zimna, półrzytomna z gorączki i bólu, toczyła przez wiele dni ostatnią polemikę z cieniami przeszłości, walczyła o swoją rehabilitację“ — pisze Brandys. „Już nie tylko przed mężem, ale przed całym światem: przed swymi synami, którzy wejdą w życie z piętnem grzechu matki, przed damami warszawskimi, które zarzucały jej niegdyś, że zbyt szybko uległa cesarzowi; przed bonapartystami, którzy nie mogli jej przebaczyć, że po upadku cesarza powtórnie wyszła za mąż; przed przyszłymi historykami i biografami; przed wszystkimi, których interesować będą kiedyś losy „polskiej małżonki Napoleona“. Pracę doprozdano do końca mimo trudności p. Carité, który nie znał polskich nazwisk i miejscowości. Dwa miesiące to trwało. „Mémoires de la comtesse Walewska“ spisane zostały na 150 stronach zeszytowego formatu.

W początkach listopada 1817 r. generał zawiózł ciężko chorą żonę do Paryża. Nie wstała już z łóżka. Umarła w pałacyku podarowanym małemu Aleksandrowi przez Napoleona. Miała wówczas 31 lat i cztery dni. Gen. d'Ornano zachował do końca życia kult dla zmarłej. Przeżył ją o przeszło 40 lat i nie ożenił się powtórnie.

### SYNOWIE MARI

Wuj Teodor Marcin Łączyński, pułkownik wojsk francuskich, zabrał obu siostrzeńców — Antoniego i Aleksandra — do kraju. Gen. Ornano zgodził się na to i rzekł się nawet na rzecz pasierbów sumy 100 tysięcy liwrów, zapisanej mu przez żonę. Trzy lata chłopcy mieszkali u wuja w Kiernozi słuchając z przejęciem jego opowiadań o matce i wojennej tułaczce pod sztandarami Napoleona. Antoni Bazyli pozostał w domu wuja, Aleksandra wysłał pułkownik na studia do Szwajcarii. W roku 1824 niespełna 15-letni chłopiec, piękny i ujmujący towarzysko, znalazł się w Warszawie. Książę

Konstanty chciał go zrobić swym adiutantem. Chłopak odmówił. Śledzony przez szpiegów uciekł i po różnych przygodach dotarł do Petersburga. Stamtąd udało mu się uciec na statku angielskim i przybył do Paryża. Stał się tam atrakcją najwykwintniejszych salonów. W grudniu 1830 otrzymał zadanie dyplomatyczne: minister spraw zagranicznych Ludwika-Filipa (niegdyś dowódca gwardii Napoleona) gen. Sebastiani zlecił mu tajną misję do władz powstańczych. Spełnił ją i wstąpił do wojska w randze podporucznika, był jakiś czas adiutantem wodza naczelnego, księcia Michała Radziwiłła. Awansował i za męstwo okazane w bitwie pod Grochowem otrzymał order Virtutii Militari. Później rząd powstańczy wysłał go do Londynu jako swego przedstawiciela. Powstanie upadło. Aleksander pojechał w r. 1832 do Paryża. Przyjął obywatelstwo francuskie, służył w Afryce Północnej w formacji strzelców afrykańskich, potem we Francji w pułku huzarów. Opuścił wojsko i zajmował się pracą dyplomatyczną, redagował gazety, pisał broszury polityczne, a nawet sztuki teatralne. Jego wielka kariera dyplomatyczna zaczęła się jednak za Napoleona III. Był na różnych placówkach dyplomatycznych, m.in. w Londynie, gdzie musiał z urzędu uczestniczyć w pogrzebie wroga swego ojca — księcia Wellingtona. Wówczas też wydobył od Anglików testament Napoleona, skonfiskowany przez nich na wyspie św. Heleny. Pod koniec życia wycofał się z kierownictwa spraw zagranicznych, ale pełnił zawsze funkcje na szczytach hierarchii państwowej. Drugą jego żoną była margrabianka Maria Ricci, wnuczka Stanisława Poniatowskiego, starszego bratanka króla Stanisława Augusta. Z obu małżeństw miał Aleksander sześcioro dzieci, tylko troje jednak dożyło dojrzałego wieku. Miał prócz tego naturalnego syna ze sławną aktorką Rachel, którego usynowił i wychowywał razem z dziećmi legalnymi. Nosił on imiona Aleksander-Antoni hr. Colonna-Walewski. Ten to właśnie Aleksander otrzymał w spadku papiery rodzinne i on udostępnił je Massonowi.

Istnieje obecnie około 30 potomków Aleksandra Walewskiego, syna

Marii i Napoleona. Niektórzy należą do francuskiej arystokracji i piastują wysokie urzędy, inni zdeklasowali się i zbiednieli. W tablicy genealogicznej rodziny można spotkać podoficera zawodowego, prywatnego nauczyciela muzyki, wołyżera cyrkowego, urzędnika fabrycznego i kierownicę samochodowego.

Drugi hrabia d'Ornano Rudolf-August, syn Marii i generała, miał również talent literacki. Obaj synowie odziedziczyli go chyba po matce. Wydał on kilka książek, ale nie literatura była jego źródłem utrzymania. Miał wysokie stanowisko w administracji, a pod koniec życia pełnił na dworze Napoleona III funkcję szambelana i pierwszego mistrza dworu. Z małżeństwa z hrabianką Aliną de Voyer d'Argenson miał sześcioro dzieci. Posiadał wielkie dobra ziemskie i dwa rodowe zamki: La Branchoire i Ormes. Na skutek działań majątkowych rodzina zubożała, ale podniosła się finansowo angażując kapitały w przemysł perfumeryjny. Ze „skandalicznego procesu“ można wywnioskować, że nabrała też mentalności kupieckiej. Aż do ukazania się szkicu Massona rodzina d'Ornano nie wiedziała nic o powiązaniu polskiej prababki z Napoleonem. Jak wiemy już — prawnuk Marii powetował sobie stracony czas wydając aż dwie książki o jej życiu: „The Life and Loves of Maria Walewska“, a w cztery lata później „Maria Walewska — l'épouse polonaise de Napoléon“. O Antonim-Bazyli Walewskim głucho później w papierach Marii, Szambelan umierając, zapisał mu Walewice. Jakie były jego dalsze losy — nie wiadomo.

„Wbrew opiniom niektórych romantycznych hagiografów“ pisze na zakończenie Brandys — „Marię Walewską trudno byłoby uznać za bohaterkę narodową. Niemniej jednak czytelnicy tej książki zgodzą się chyba ze mną, że Kiernozia — a wraz z nią cała Polska — nie mają żadnego powodu, aby wstydzić się tej postaci bądź się od niej odżegnywać“.

---

### CZAS

ODNOWIĆ  
PERNUMERATE  
NA ROK 1970

---

Przy końcu października 1919 r. I. Dywizja Piechoty Legionów stanęła w odwodzie w rejonie Święcian. Front przebiegał od Dyneburga do Połocka wzdłuż Dźwiny i skręcał na południe wzdłuż Berezyny. Pierwsza bateria 1. pułku artylerii lekkiej stanęła 25 października we wsi Strunojce. Dowódcą był por. Eugeniusz Mięśowicz, ofic. zaprzęgowym ppor. Józef Lis, zwiadowczym ppor. Wojciech Bendyk, ogniowym i dcą 1 plutonu ja — 20-letni podporucznik, dcą 2 plutonu podchorąży Stanisław Zajęc. Byłem najmłodszym wśród oficerów, których wiek z dowódcą włącznie nie przekraczał 25 lat.

Bateria miała za sobą odsiecz Lwowa, walki pod Przemyślem, Lwowem, Gródkiem Jagiellońskim, ofensywę na Podkarpaciu, nad Dniestrem, Złotą Lipą, ofensywę na froncie litewsko-białoruskim, która doprowadziła ją nad Berezynę. Bateria była konna, teraz przeorganizowała się na normalną lekką. Okres służby w baterii konnej zaliczam do najpiękniejszych w życiu; ogólny nastrój zdobywania wolności, idealne stosunki koleżeńskie, wspaniałe żołnierz, ciągły ruch, humor, beztraska. Było to spełnienie moich marzeń snutych przy czytaniu Trylogii.

Tuż przed przybyciem do Strunojce starsze roczniki zostały zwolnione, co pozbawiło baterię wielu doskonałych żołnierzy. Otrzymaliśmy duże uzupełnienia i zaczęło się bardzo intensywne szkolenie. Około 50 procent stanu, stanowili rekruci. Szczególnie trudności były z celowniczymi. Z kłkoma wybranymi na tę funkcję przerabiałem wieczorami rachunki... Uzupełnienie było fizycznie słabe i z początku obsługa nie mogła przetoczyć dział; za zgodą dowódcy zarządziłem codziennie pół godziny przetaczania dział po śniegu dla obsługi. Narzekali, ale później zrozumieli.

25 listopada wyjechałem z 8 ludźmi jako oficer kwaterunkowy pułku w rejon Opsa-Widze. Był siarczysty mróz i bardzo duży śnieg. W ściepie na koniu nie można było usiedzieć, więc maszerowaliśmy przy koniach. Po drodze próbowaliśmy upolować wilka, ale nam uciekł. Rejon był zupełnie zniszczony wojną. W miejscowości Widze ludzie mieszkali w ziemiankach i schronach w okopach. Po 8-dniowej podróży, w czasie której zrobiliśmy około 350 km, wróciłem

STANISŁAW MAYER

## SPOD LWOWA

i złożyłem meldunek. Zostaliśmy na miejscu. Do połowy grudnia obsługa była przeszkolona. Z jezdnyimi nie było dużo kłopotu, dyszlowych i czółowych mieliśmy starych, zwiad i duża część telefonistów złożone były również ze starych żołnierzy.

Zaczęły się mnożyć oznaki bliskiego wyjścia na front. Dostaliśmy hełmy i maski gazowe, doskonały ekwipunek zimowy, przykrycia na konie podręczne, płozy pod działa i wozy. Konie zostały przekute na ostro. Wraz z puszkarzem kapralem Żydziem rozebraliśmy po kolei wszystkie działa, wstawili nowe śruty w łożyska i sprawdzili przyrządy celownicze. Trzymał stale silny mróz, pracowaliśmy przy ognisku rozpalonym pod działem.

Nadeszło Boże Narodzenie. Przelaliśmy się opłatkami na kwaterze dowództwa, popili szklanką miodu, a potem poszliśmy do chłopców. Wigilia odbyła się w 4 miejscach i była dobrze zakropiona samogonem przygotowanym z kawą. Zapach to miało okropny, smak też odpowiedni, jednak humory były świetne i ściany trzęsły się od śpiewów.

### WYRUSZAMY NA WOJNĘ

29 grudnia ruszyliśmy do załadowania na stacji Nowo-Swięciany. Działa i wozy na płozach. Za wsią płozy zaczęły ryć w miękkim śniegu aż do ziemi, konie nie mogły uciągnąć, stanęły w pianie. Nie było innej rady jak zdjąć płozy, zabrać na wozy by oddać na stacji. Przyjechalśmy do miejscowości Dukszty, wyładowali się i przeszli przez Skrudelino — jezioro Dryświaty ku rzece Dźwinie. W Duksztach „dołączył“ do baterii wyżeł, który odbył z nami całą kampanię. Nie wiedzieliśmy jak się nazywa, a ponieważ na powiedzenie „marsz“ przychodził, nazwaliśmy go Mars. Bardzo lubił towarzyszyć naszemu zwiadowcom, interesowało go strzelanie. Po każdym strzale wybiegał przed lufy i od huku ogłuchł. Po przybyciu do Dźwińska — znikł.

Nowy Rok 1920 zastał nas na nocnym postoju nad jeziorem Dryświaty. Przeszliśmy je po lodzie i 2 stycznia zbliżyliśmy się do Dźwiny dołączając

do 5. pułku piech. Legionów, którym dowodził major Dąb-Biernacki. Zajęliśmy stanowisko ogniowe; przed nami na północnym brzegu Dźwiny była duża wieś Bolszyje Kriwany. Natarcie ruszyło. Moskale stawiali bardzo słaby opór, który nasza piechota szybko złamała i przeszła po lodzie opanowując wieś.

Przed południem ruszyliśmy ku rzece. W ostatnich dniach była odwilż i w niektórych miejscach woda stała na lodzie. Również przy brzegu lód popękał i nie wiadomo było czy wytrzyma ciężar dział. Kompania pionierów 5 pułku miała nam pomóc. Najpierw zarzucili faszyną, gałęziami i belkami miejsca wolne od lodu przy brzegach, potem zaczęła się prępa. Pierwszy przeszedł zwiad, prowadząc konie w rękę, potem puściliśmy dwie szóstki jaszczów i przetoczyli na rękach dwa. Lód wytrzymał. Następnie przeprowadziliśmy konie i przetoczyli działa; pod drugim lód się załamał, szczęściem tylko jedno koło wpadło. Podparliśmy drągami — i poszło. Za działami poszły wozy, wszystkie przetoczone w rękę. Trudno powiedzieć ile razy „kursowaliśmy“ z Zajęcem tam i z powrotem po rzece. Prępa trwała bardzo długo i była już noc, gdy bateria dotarła do Bolszyje Kriwany, gdzie był jeszcze jeden batalion 5 p.p. Dwa inne, przeważnie na chłopskich saniach, poszły już na przód. Dochodziły odgłosy strzałów.

### CHRZEST BOJOWY BATERII

Była już chyba godz.22, gdy wyruszyliśmy za 5. p.p. Chwylił silny mróz. Zwiad, idący przed baterią, kilkakrotnie natykał się na uciekających spod Dźwińska bolszewików i raz po raz zrywała się strzelanina. W jednej wsi trzy razy obracaliśmy baterię, gdyż ze wszystkich stron słyhać było ogień. Wreszcie utknęliśmy zupełnie. Między nas a 5 p.p. wpakowali się Moskale. Ruszyliśmy dalej zbliżając się do wsi Mossule. Odezwała się artyleria bolszewicka. Po drodze widzieliśmy zabitych Moskali, ale i naszych też kilku leżało przy drodze.

Niedaleko przed wsią dostaliśmy się w ogień szrapnelowy, ale żadnej



# NAD BEREZYNE

szkody nam nie zrobił. Moja klacz zwała się razem ze mną w jamę zawałoną śniegiem, z trudem wydostałem się. Ogień po chwili ustał. Dotarliśmy wreszcie do 5 p.p. Zjawił się major Dąb-Biernacki i przysłał nam kompanię saperów, przy ich pomocy wydostaliśmy się z zasy. Za baterią poza wozem telefonicznym poszły małe sanki, wiozące żelazne porcje i... patefon. Ktoś go nam przywiózł z kilkoma płytami, które już dawno znaleźliśmy na pamięć. Odbył z nami całą kampanię, funkcjonując bez zarzutu nawet na mrozie.

Sytuacja była trudna. Dwa bataliony 5 p.p. były okrążone we wsi Mossule. Zaczęliśmy natychmiast ustawiać działa. Najtrudniejszą sprawą było zrobienie wykopu, gdyż ziemia była zamrożona i trzeba było ją kuć kilofami jak skałę.

Mięsowicz zawołał mnie do chałupy i podał zadanie, ale byłem tak zmęczony i wyczerpany, że po wejściu do ciepła zupełnie traciłem przytomność, tylko czerwone płyty latały mi przed oczyma. On dawał mi rozkazy szczypiąc mnie w policzek. Pamiętałem tylko... „godzina 6-ta, wieża trygonometryczna, celownik 800...“ Wybiegłem do dział, gdzie ruch i mróz nie pozwalały tak odczuwać zmęczenia. Właśnie zapaliliśmy latarnie na nocny punkt celowania, gdy przed nami rozległy się głosy komendy rosyjskiej, a po niej dwie czy trzy salwy karabinowe i ogień karabinów maszynowych.

W pierwszej chwili część obsługi nie ostrzelanej padła na ziemię. Pociski szły gęsto. Doskoczyliśmy do dział i początkowo z kilkoma starszymi otworzyliśmy ogień granatami. Nie było ani czasu ani światła na nastawianie kartaczy. Pociski nasze doskonale odskakiwały od zmarzniętej ziemi. Przy blasku ognia wylotowego widać było tylko ciemne postacie biegnące po śniegu z okrzykiem „hura“! Nie byli dalej, jak 100-150 metrów.

Nasza obsługa po pierwszym strzale oprzytomniała i wszyscy skoczyli na swoje miejsce. W drugim dziale oblodzony pocisk utknął w komorze naboju i nie można było zatrza-

snąć zamka. Nie pomógł nawet kilof. Waliłem dalej, ile weszło, z pierwszego działa. Moskale ze swej strony też zaczęli okładać nas szrapnelami, ale ich piechota padła na ziemię. Naraz wśród huku dział i wybuchów usłyszałem spokojny meldunek: „Panie poruczniku, drugie działo gotowe“: Był to kanonier Puchała, ładowniczy, trochę „oferma“. Mimo bliskiego ognia karabinowego wyszedł przed działo i stemplem wybił pocisk. Puchała jako jeden z pierwszych dostał krzyż.

Tyraliera nasza wyszła ze wsi i posuwała się szybko naprzód. Bolszewicy, pozostawiwszy dużo zabitych — wiali. Biłem skokami co jedną kreskę na celowniku (40 m.), aż nasza piechota zniknęła wśród zabudowań folwarku Wyszki. Dzień wstał jasny i mroźny. Od naszych dział mieliśmy teraz daleki wgląd aż do toru kolejowego i na szosę, na której widać było kolumnę wozów. Oddaliśmy tam kilkanaście serii, ale musieliśmy oszczędzać amunicji. Tabor nasz nie dołączył. Kuchnia też została. Walka uci-chła zupełnie. Koło południa otrzymaliśmy rozkaz szybkiego marszu w rejon stacji Dubno-Wyszki (przedtem strzelaliśmy na nią z dobrym — jak się okazało — skutkiem), gdyż na torze są pociągi pancerne, z którymi piechota nie może sobie dać rady. Na folwarku Wyszki masa zabitych Moskali. Już mrok zapadał gdy doszliśmy do stacji Dubno. Za późno! Pancerki zdołały ująć. Poszliśmy na kwatery, oficerska była w szkole. Późnym wieczorem otrzymałem rozkaz strzelania na stację Ruszon. Nie wiem jaki był skutek na stacji, ale na naszej kwaterze wypadły wszystkie szyby, a mróz był zdrowy. Pozatykaliśmy okna czym było można i każdy jak stał, zwał się na słomę. Ledwie usnęliśmy, gdy tuż pod oknami rozległy się strzały karabinowe. Wyskoczyliśmy z chałup. Kanonierzy wskazywali na jedną z ulic. Wytoczyliśmy działo, które skierowałem w tę ulicę, potem zostawiłem obsługę dając działonowemu rozkaz strzelania w razie czego kartaczami, a sam z resztą, bagnet na broń, pobiegłem we wskazanym kierunku. Spatrolowaliśmy tę część wsi, ale nikogo nie spotkaliśmy.

Widocznie patrol nieprzyjacielski szybko się ulotnił albo ukrył.

## W NATARCIU I OBRONIE

5 stycznia dowódca baterii z oficerem zwiadowczym pojechali do wsi Pejpuny, gdzie leżały dwa bataliony 5 p.p. Łączności z nimi nie mieliśmy, byliśmy na tyłach rosyjskich. Ja z plutonem stanąłem na stanowisku ogniowym do zwalczania pociągów pancernych, w ciągu dnia kilkakrotnie strzelaliśmy do nich. Moskale odpowiadali na nasz ogień, kilkanaście pocisków padło bardzo blisko.

Tabor nasz dotychczas nie dołączył i nie mieliśmy ciepłej strawy. Konserwy z żelaznych porcji były tak zmarznięte, że trzeba je było rąbać siekierą. Sytuację żywnościową ratowałem w pewnym stopniu zdobywszy cukier w kostkach, po 3 helmy na człowieka. Na noc zostałem na tym stanowisku. Mróz był srogi, ognia nie wolno było palić. Do naszej piechoty na przodzie mieliśmy 3 km. i tyle samo do batalionu odwodowego i baterii. Na prawo nie było nikogo, na lewo mieli być Łotyśze, ale nawet słycho o nich nie było. Z lewej wystawiłem na torze czujkę, na prawo co godzinę wysyłałem patrol 2-ch ludzi. Było zupełnie ciemno, gdy podjechały sanie ze słomą, przysłał je Mięsowicz, aby ludzie mogli trochę wypocząć; ale spać było niebezpiecznie, bo... można się było nie obudzić. Koło północy nadjechał kucharz, wioząc na saniach kocioł zimnej kawy. Zabłądził i kawa wystygła. Po jej wypiciu wszystkich nas zaczęło trząść jak w febrze.

W pewnym momencie usłyszeliśmy chrzęst śniegu i coś zaciemniało na szosie przed nami. To maszerował nasz 1 p.p. Legionów. Nareszcie! Już nie jesteśmy sami, mamy łączność z dywizją. Wspaniale wyglądał 1 pułk. Helmy połyskiwały, od czasu do czasu zabrzękła broń, a chrzęst śniegu pod nogami dodawał rytmu ruchowi. Siła biła od nich młodość. Niezapomniany widok! Nastąpiło przegrupowanie. Dotychczasowy nasz rejon objął 1 p.p. Leg. Przyszły też nasze baterie: 3-cia, 7-ma, 9-ta, wszystkie już uzbrojone w działa 75 mm, które nie były odpowiednie w tych warunkach atmosferycznych. Nasze 3-calówki spisywały się doskonale.

Odeszliśmy na jedną noc do tyłu i zakwaterowaliśmy się w jakimś chu-

torze. Rano poszliśmy na stanowisko ogniowe w dolinie koło wsi Deksznia, w której chyba wszystkie wiatry świata dały sobie rendez-vous. Staliśmy tam długo; prawie przez cały czas szalał wicher i miotło śniegiem. Mieliśmy teraz już nasz tabor, ale amunicję trzeba wozić wzdłuż frontu ze stacji Ruszon — około 60 km. Plutonowy Czerkowski dostał do pomocy jednego kanoniera i zebrawszy 60 sań zorganizował własne zaopatrzenie kolumny, która była lekka i szybka. W czasie jednego z natarć bolszewickich, gdy na baterii był silny ogień, Czerkowski jechał galopem na huk działa. I zdążył na czas!

Zaczął się teraz okres ciężkich walk obronnych w rejonie Wyszki-Mossule-Pejpuny, w których bolszewicy ponieśli duże straty bez żadnego zysku terenowego. Strzelaliśmy wtedy dość dużo, często w nocy. Oświetlanie przyrządów celowniczych latarniami okazało się niepraktyczne, przy każdym strzale świeczki gasły. Z pomocą przyszedł, jak często bywa, przypadek. Ktoś przyniósł piecyki kieszonkowe. Było to pudełko z metalu wielkości latarki elektrycznej, do którego wkładało się słupek żarzącego węgla drzewnego. Te węgielki były doskonałe, gdy się skończyły trzeba je było czymś zastąpić. Działon służbowy przygotowywał zawsze wieczorem wiązkę kółków brzożowych. Na baterii tliło się małe ognisko, kółki końcami tkwiły w żarze i wartownik co pewien czas je podsuwał. Gdy obsługa w nocy biegła do dział, każdy celowniczy i amunicyjny chwycił taki kółek i oświetlenie działało bez zarzutu. Nawet dmuchać nie było potrzeba, bo wiatr sam to robił.

Po odparciu natarć bolszewickich uspokoiło się na froncie na kilka dni, potem przyszedł rozkaz do natarcia, które miało wyjść o świcie po krótkim przygotowaniu ogniowym. Wyjechałem z pierwszym plutonem po północy. By nie robić wykopów zbudowaliśmy pod działą pomosty z belek i desek pokryte grubą warstwą słomy. Cele dla mojego plutonu zostały wyznaczone z bardzo podłej mapy. Przy sprawdzaniu danych na stanowisku okazało się, że na najbliższy cel nie można było strzelać, gdyż nie pozwalał najmniejszy celownik. Na zmianę stanowiska nie było czasu. Mięśowicz zdecydowa-

wał strzelać przy najmniejszym celowniku szrapnelami, co dawało wysokie rozpryski nad celem. Staliśmy blisko i ponad drzewami widzieli błyski rozprysków i wybuchów. Piechota nasza prawie bez walki poszła naprzód. Gdy się rozwidniło z przerażeniem stwierdziłem, że w wykopach jest woda. Staliśmy... na zamrzniętym niedużym jeziorze, nie zaznaczonym na mapie. Uratowały nas prawdopodobnie pomosty pod działem, które rozkładały ciężar i łagodziły uderzenia po strzałach. Wkrótce ruszyliśmy naprzód.

### WALKA ZE ŚNIEGIEM

Była to właściwie ostatnia poważniejsza walka na naszym kierunku. Teraz głównym naszym przeciwnikiem stały się zasypane śnieżne i zawiązane drogi. Posuwaliśmy się bardzo wolno, czasem nie więcej jak 10 km w ciągu dnia. Mieliśmy wypróbowany system marszu: przed baterią szło 30-40 chłopów z łopatami, którymi kierował Lis. Na czele baterii jechały 2 puste jaszczki, które torowały drogę. Amunicja, prócz kilku pocisków w przodkach, cała na saniach. Szliśmy normalnie sami, gdyż piechota zwykle posuwała się szybciej i dopiero wieczorem przychodził pluton osłony. Jednego wieczoru utknęliśmy zupełnie w zaspach we wsi tak, że działą zostały na drodze i dopiero rano wygrzebaliśmy się. Niekiedy trzeba było na rękach przetaczać działą i wozy przez wieś, gdzie zasypane były największe. Często maszerowaliśmy przez zamrznięte jeziora oraz na przełaj polami, wyszukując pagórki i grzbiety, gdzie było mniej śniegu.

W jakiejś dużej wsi ustawiałem działą, gdy rozległ się okrzyk: „pożar“. Zapaliła się tzw. „bania“ (łaźnia). Skoczyliśmy z obsługą z kilofami i siekierami. W kilka minut rozerwaliśmy płonący słomiany dach, który z sykiem zgasł na śniegu. Dostałem za to komplement od jednej z miejscowych piękności: „ot, młódziec“.

Jeden z ostatnich postojów wypadł nam w polskim dworze Doski. Przyjęto nas bardzo gościnnie. Wkrótce przyszedł rozkaz odejścia do Dźwińska. Powrotny marsz był znacznie szybszy, gdyż drogi były przetarte i już nam znane. Zapadał wieczór, kiedy z ostatniego noclegu

na folwarku Wyszki doszliśmy do Dźwińska i stanęli na postój w twierdzy.

Ta kampania dała nam bardzo dużo. Zyskaliśmy wszyscy doświadczenie w walkach zimowych. Po drugiej wojnie światowej czytałem dane niemieckie o kampanii zimowej w Rosji, były one podobne do naszych doświadczeń. Chrzest bojowy w Mossulach okazał się zbawienny dla obsługi, nie zawiodła ona w najgorszych warunkach aż do końca wojny. Stosunki między oficerami były bardzo dobre. Mięśowicz był więcej kolegą niż dowódcą, wesoły, dowcipny. Nastrój przeważnie dobry. Zasługą Lisa było, że nasze konie wyrzymały te wszystkie marsze i mrozy, gdyż wszystkimi sposobami starał się o furaz.

Doskonały zimowy ekwipunek uchronił ludzi od odmrożeń. Strat krwawych nie ponieśliśmy. Natomiast postój w Dźwińsku kosztował baterię wielu dobrych żołnierzy zmarłych na tyfus plamisty.

Stanisław Mayer

**INSTYTUT LITERACKI**

PARYŻ 1969

**Kazimierz Wierzyński**

**SEN MARA**

Poezje

Cena: sh. 18/6; F. 11.00; dol. 2.40

**Księgarnia S. P. K.**

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

**BIBLIOTEKA „KULTURY“**

CZESŁAW MIŁOŚZ

**MIASTO BEZ IMIENIA**

Nowy tom wierszy Miłosza, w którym najwyraźniej widać szczególne, właściwe tylko temu poecie, połączenie krajobrazów Kalifornii i rodzinnej Litwy, życia teraźniejszością i przeszłością, Ameryki lat 1960-tych i Wilna zarówno 1930 jak 1820 roku.

Str. 72

Cena: 15sh., 9.00 F., 2.00 dol.

**Księgarnia SPK,**

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.



# 1-sza Dywizja Grenadierów A. P. we Francji

W historii oręża polskiego 1-sza Dywizja Grenadierów Armii Polskiej we Francji będzie mieć swoje miejsce jako ta, która pierwsza stanęła pod bronią poza granicami Państwa, po nieszczęśliwym zakończeniu wrześniowych działań wojennych w Polsce.

Idea stworzenia tej dywizji zrodziła się jeszcze przed wojną.

W maju 1939 r. zawarte zostało prowizoryczne porozumienie między sztabem polskim i francuskim, by w wypadku wojny stworzyć dywizję, w której Polacy mieszkający we Francji mogliby walczyć pod własnym, polskim sztandarem.

Nieszczęśliwy obrót wojny w Polsce zmienił sytuację.

Dziesiątki oficerów i żołnierzy opuszczało kraj i dążyło do Francji, gdzie nowy rząd gen. Sikorskiego tworzyć miał nie jedną już tylko dywizję, lecz całą nową Armię Polską.

1-sza Dywizja Grenadierów, której początki organizacji w obozie Coetquidan sięgają ostatnich dni września 1939 r., stała się zaczątkiem tej nowej armii i w pierwszej fazie swego istnienia, wydzielala kadry dla następnych jednostek.

Z powodu braku sprzętu bojowego i powolnego jego dostarczania, dywizja znalazła się na froncie dopiero po wielkich klęskach Francuzów w Belgii. Dowodził nią gen. Duch, który przybył do Francji z piękną kartą bojową z działań wrześniowych w Polsce.

Mimo, że dochodziły głuche wieści o klęskach w Belgii i północnej Francji, możliwości całkowitego załamania się Francji nikt nie brał pod uwagę. Nastrój żołnierzy był doskonały i świadczył o wspaniałym patriotyzmie emigracji polskiej we Francji. Była to bowiem prawdziwa emigrancka dywizja, około 80% jej stanu stanowili Polacy z Francji.

Dywizja została skierowana w ostatnich dniach maja na bierny jeszcze wówczas, lottaryński odcinek linii Maginota, na którym Niemcy dopiero przygotowywali się do ataku, gdzie wrzały głównie pojedynki artyleryjskie. Toteż nie piechota, lecz artyleria dywizji pierwsza przeszła chrzest bojowy.

Po kilkunastu dniach walk na przedpolu, ruszyła 14 czerwca niemiecka ofensywa na odcinku XX francuskiego korpusu, w którego składzie znajdowała się 1-sza Dywizja Grenadierów. Przy ogromnej przewadze lotniczej i artyleryjskiej, Niemcy odnieśli lokalne sukcesy, ale zostali odparci w kontratakach. W jednym z nich odznaczył się szczególnie oddział rozpoznawczy 1-szej Dywizji Grenadierów.

Jednakowoż, w związku z ogólną sytuacją, już w przeddzień tej bitwy francuskie naczelne dowództwo zarządziło opuszczenie linii Maginota. Rozpoczęły się ciężkie i najtrudniejsze chyba dla młodego żołnierza 1-szej Dywizji Grenadierów walki odwrotowe, z których najkrwawszą była dwudniowa bitwa obronna pod m. Lagarde nad kanałem Marna-Ren 17 i 18 czerwca.

17 czerwca Niemcy uderzyli na odcinek 2 pułku grenadierów pod Lagarde i korzystając z zupełnego panowania w powietrzu oraz wielkiej przewagi artyleryjskiej, pod wieczór przekroczyli kanał. 2 pułk grenadierów ostatnim wysiłkiem utrzymał zalesione wzgórze w odległości ok. 1 km. od kanału. Groziło załamanie całego frontu korpusu, jeśli Niemcy przeprowadzą dalsze siły pod osłoną nocy. Dowódca dywizji postanowił uprzedzić nieprzyjaciela. Podsunął swoje odwody i przybywszy na zagrożony odcinek, osobiście zorganizował nocne przeciwnatarcie. Zaskoczeni Niemcy zostali rozbici i odrzuceni za kanał. Ale na drugi dzień zawrzała znów walka na odcinku całego XX Korpusu, w której obydwie sąsiednie dywizje francuskie zostały odrzucone i jedynie 1-sza Dywizja Grenadierów za cenę wielkich strat poniesionych w wielu kontratakach, utrzymała do wieczora część linii kanału Marna-Ren, po czym na rozkaz dowódcy korpusu nastąpił w nocy dalszy odwrot.

Dywizja znalazła się pod Baccarat.

Niestety, zbliżał się tragiczny koniec. Wieść o zamiarach kapitulacyjnych Petain'a zdemoralizowała do reszty wojsko francuskie, które już teraz przy każdym nacisku odchodziło, czekając na zawieszenie broni.

W tej sytuacji, 19 czerwca nadszedł radiowy rozkaz gen. Sikorskiego, już z Londynu, że jednostki polskie mają dążyć na południe Francji celem ewakuowania i kontynuowania walki u boku W. Brytanii.

Dowódca Dywizji prosił Dowódcę francuskiego korpusu o zwolnienie dywizji z odcinka celem wykonania rozkazu polskiego naczelnego wodza. Dowódca Korpusu nie zgodził się. Gen. Duch stanął wobec sytuacji, że samowolne opuszczenie sojusznika na polu bitwy będzie postrzegane za zdradę i zhańbi dobre imię żołnierza polskiego. Dlatego postanowił trwać w walce, póki francuscy sąsiedzi są jeszcze na linii bojowej, ale w żadnym wypadku nie kapitulować, lecz w stosownej chwili rozwiązać dywizję i nakazać przedzierać się grupami na południe Francji.

Nastąpiło to 21 czerwca pod m. Raon-L'Etape, gdy francuskie oddziały wycofały się w nocy, odsłaniając boki dywizji, co groziło jej bezpośrednim otoczeniem przez nieprzyjaciela. Dowódcy oddziałów byli poprzedniego dnia przygotowani na tę ewentualność na odprawie u dowódcy dywizji. Zniszczono artylerię i całą ciężką broń, zakopano sztandary i akta operacyjne, oficerowie i żołnierze rozeszli się w małych grupach, aby szukać przejść w zacieśniającym się pierścieniu niemieckim, co w pewnej mierze było ułatwione dużym zalesieniem całego obszaru.

Gen Condé podpisał kapitulację swojej armii 22 czerwca.

1-sza Dywizja Grenadierów nie złożyła Niemcom broni. Prawda, że wielu jej żołnierzy w swej wędrówce na południe wpadło w ręce Niemców, ale część schroniła się w Szwajcarii, wielu zdołało się ukryć na terenie Francji i brało udział w polskim i francuskim ruchu oporu, a wielu przez Gibraltar lub Hiszpanię i Portugalię przedostało się do W. Brytanii i walczyło w późniejszym okresie wojny w innych jednostkach polskich. Gen. Duch dowodził później sławną 3 dywizją strzelców karpaccich w ciągu całej kampanii włoskiej.

**P**IEĆDZIESIĄTA rocznica powstania naszej Wyższej Szkoły Wojennej, nazywanej do 1921 roku Wojenną Szkołą Sztabu Generalnego, została uczczona i upamiętniona nie tylko zjazdem żyjących w wolnym świecie jej absolwentów, ale także wydaniem okazałej, arcyciekawej i pod wielu względami osobliwej księgi. Okazałej, bo obejmującej ponad 500 stron, arcyciekawej, bo bardzo wszechstronnie ujętej i bogato ilustrowanej, wreszcie osobliwej — choćby tylko dlatego, że podobnego pomnika nie doczekały się dotychczas daleko starsze i wciąż jeszcze istniejące jej odpowiedniki francuskie, niemiecki i brytyjskie.

Hołd złożony tą księgą naszej wojskowej „alma mater“, jest tym piękniejszy, że została ona opracowana niemal bez materiału dokumentarnego, a wydana lją tylko ze składek, nie mówiąc już o tym, że nawet drugie „szkockie“ wcielenie tej uczelni zostało już w 1946 roku zlikwidowane i że spośród ok. 1.500 absolwentów obu tych szkół i paryskiej „Ecole Superieure de Guerre“ zaledwie 1/5 część żyje jeszcze w wolnym świecie, pod znanymi adresami.

Ze księga ta pojawiła się na półkach księgarskich, zawdzięczamy inicjatywie komitetu organizacyjnego, któremu przewodniczył gen. Klemens Rudnicki, ofiarnej pracy komitetu wykonawczego z niez mordowanym płk. dypl. Janem Leśniakiem na czele, serdecznemu oddźwiękowi wśród kolegów i przede wszystkim jej redaktorowi, płk. dypl. Wacławowi Chocianowiczowi, autorowi o kilka lat wcześniej wydanych „Dziejów 1. P.A.L. Leg.“. Włożył on w to swoje nowe dzieło ogrom bezinteresownej pracy i sprostał trudnemu zadaniu w pełni.

Zadanie jego było tym trudniejsze, że księga ta jest oparta głównie na relacjach, a nie na dokumentach i to na relacjach pisanych sercem po wielu latach, przy tym nierównych pod względem zasięgu poziomu i podejścia do zagadnień i ludzi. Choć wskutek tego nie jest ona w pełni udokumentowaną historią i choć uważny czytelnik znajdzie w niej tu i tam powtórki i sprzeczności, ten jej mozaikowy a nie monolityczny charakter uprzyjemnia jej lekturę, tak samo, jak przejrzysty układ ją ułatwia. Z drugiej strony bogactwo i wszech-

KAZIMIERZ GLABISZ

## W 50-lecie Powstania Wyższej

stronność nagromadzonego w niej materiału dają pełny wgląd w życie, działania, trudności, nastroje i osiągnięcia naszej niejako w letarg zapadłej Jubilatki.

Omawiana księga podzielona jest na cztery części, poprzedzone wizerunkami wszystkich sześciu Naczelnych Wodzów Polski Niepodległej oraz wykazem jej dwunastu kolejnych Szefów Sztabu Generalnego lub Głównego lub Naczelnego Wodza.

### Część I. składa się:

— z krótkiego zarysu historii Wojskowej Szkoły Aplikacyjnej z lat 1820-1831, jedynej poprzedniczki naszej W.S.Woj., pióra gen. Kopańskiego,

— z obszernej i bardzo istotnej i interesującej relacji gen. Stachewicza o działalności naszych naczelnych władz wojskowych w drugim okresie międzywojennym i ich stosunku do Wyższej Szkoły Wojennej.

— z pięknego przemówienia gen. Sosnkowskiego na temat roli i obowiązków oficerów dyplomowanych, wygłoszonego 24 kwietnia 1944 z okazji otwarcia na obczyźnie IV kursu W.S.Woj.,

— wreszcie z b. ciekawego, ale częściowo kontrowersyjnego artykułu ówczesnego płk. Lityńskiego, umieszczonego w IV. zeszytce „Bellony“ z 1955 roku o udziale W.S.Woj. w kształtowaniu polskiej doktryny wojennej.

Część II. zawiera przyczynki i materiały dotyczące historii szkoły międzywojennej zarówno w jej „francuskim“, trwającym do 1928 roku, jak polskim okresie. Obejmuje ona także znacznie krótszą historię jej przybudówek, tzn. Wyższej Szkoły Intendentury, Wyższej Szkoły Lotniczej i Wyższej Szkoły Inżynierii. Ponadto dowiadujemy się z tej części, ilu oficerów sztabu general. odziedziczyliśmy z armii austriackiej i rosyjskiej, ilu ukończyło paryską „Ecole Superieure de Guerre“ i na odwrót, ilu obcych oficerów, głównie gruzińskich i ukraińskich, ale także estońskich, łotewskich i innych ukończyło naszą Wyższą Szkołę Wojenną.

Przed wszystkim jednak ta część naświetla zmiany, jakie w ciągu

20 lat przeprowadzono w organizacji szkoły, w sposobach powoływania słuchaczy, w zakresie studiów, w metodach nauczania, w obsadzie komendy, kadry naukowej i działu administracyjno-gospodarczego itd. Ponadto znajdziemy w niej charakterystykę zdrowych na ogół nastrojów wśród słuchaczy i nastawienia czołowych wykładowców, wreszcie syntetyczną i na ogół trafną ocenę osiągnięć szkoły, która jak to słusznie podkreślono, zawdzięcza swój dorobek francuskiemu pułkownikowi, a późniejszemu generałowi Faury oraz — w okresie „polskim“ — gen. Kutrzebie, jej długoletniemu komendantowi, ale w stopniu poważnym także czołowym ich pomocnikom. Poza umieszczeniem w tej części in extenso dłuższych i ciekawych przyczynków gen. Rudnickiego oraz pułkowników Onacewicza i Mitkiewicza — redaktor wykorzystał wszelkie dostępne dokumenty oraz liczne relacje. Choć co do niektórych konstatacji czy wniosków można mieć taką czy inną zastrzeżenie, całość daje wierny obraz ewolucji, trudności i dorobku szkoły, nie nadużywając ani czarnych ani różowych barw.

Ciasne ramy recenzji nie pozwalają na skomentowanie nawet najistotniejszych spośród owych kontrowersyjnych naświetleń, do których zaliczyłbym 1) przyczyny i skutki ograniczenia zakresu studiów oraz roli oficerów dyplomowanych, 2) udział wyższych uczelni wojskowych w kształtowaniu doktryn wojennych. Toteż powrócę do tych spraw w oddzielnym artykule. Tutaj chcę podkreślić, że te i inne mniej lub więcej sporne naświetlenia zadań i osiągnięć W.S.Woj. nie zmieniają faktu, iż w omawianej książce jest wielokrotnie więcej stwierdzeń i wniosków słusznych, bezspornych i dla szkoły pochlebnych, aczkolwiek nie bezkrytycznych.

Część III. jest nie mniej ciekawa, bogata i pouczająca. Zawiera nie tylko imienne spisy bodaj wszystkich absolwentów względnie słuchaczy 4 kursów „doszkolenia“, 18 kursów normalnych tzn. dwuletnich, przer-



# Szkoły Wojennej w Warszawie

wanego przez niemiecką napaść 19. kursu i 1-go kursu doskonalącego, ale także ich mniej lub więcej wnikliwe charakterystyki i opisy ich atmosfery, podróży, osiągnięć itd. Fotografie wielu spośród tych roczników uplastyczniają te opisy, oparte częściowo na ustnych lub pisemnych relacjach uczestników, a częściowo przez nich samych z werwą, humorem i leżką napisane. Nie brak w nich takich czy innych uwag krytycznych, ale nie ma patosu czy autoreklamy — poza jednym wyjątkiem. Za to wszystkie świadczą o serdecznym koleżeństwie, które było silniejsze niż zrozumiała rywalizacja i które, przynajmniej zdaniem jednego z dwóch relacjonistów, opisujących szkołę na tle wypadków majowych, szybko przewyciężyło powstały rozbrat.

Dowiadujemy się z tych opisów lub z dołączonych na końcu tabel, które kursy były najliczniej względnie najslabiej obesłane, które były najbardziej lub najmniej jednolite pod względem wieku i stopni i które bronie (poza piechotę) dostarczały najwięcej słuchaczy. Wreszcie poznajemy przyczyny gwałtownego skurczenia się zgłoszeń w latach 1931-1937 i tylko połowicznie skuteczne sposoby przewyciężenia tego kryzysu. Kryzysu tym niebezpieczniejszego, że niemiecką „Kriegsakademie“ kończyło w tym czasie rocznie po 150-200 słuchaczy, gdy naszą zaledwie 20-40 i że spośród masy starszych naszych oficerów dyplomowanych wielu wyszło z woj-ska lub zmarło.

Część IV. obejmująca lata 1941-1946, jest z natury rzeczy najkrótsza, choć też zawiera spisy wykładowców i absolwentów, opisy i fotografie oraz wykazy absolwentów wyższych uczelni anglosaskich (Camberley i Levenworth). Jest to o tyle zrozumiałe, że na obczyźnie nasze wskrzeszone wyższe szkolnictwo wojskowe ograniczyło się do sześciu półrocznych kursów Wyższej Szkoły Wojennej, przeprowadzonych w Szkocji oraz 4 kursów Wyższej Szkoły Lotniczej przeprowadzonych w Weston super Mare.

Choć kursy te były krótkie i częściowo za późne, dały wojsku blisko 300 młodych, ambitnych i przeważnie doświadczenie frontowe posiadających oficerów dyplomowanych, a lotnictwu 31.

Książkę zamyka krótkie, ale piękne i w sedno trafiające posłowie jej redaktora oraz skorowidz źródeł i nazwisk, niechybnie przez jego pracowitą małżonkę zrobiony.

Warto się z tą książką zapoznać, choć nie jest ona i nie może być naukową monografią, bo gros akt dotyczących W.S.Woj. znajduje się w Centralnym Archiwum Wojskowym w Warszawie. Za to daje ona prócz przebogatego materiału informacyjnego i statystycznego szeroki wachlarz wspomnień, opisów, refleksji, ocen, i wniosków, przeważnie szczerych śmiałych i trafnych, nieraz krytycznych, ale per saldo dla Jubilatki pochlebnych. Innymi słowy, daje ona to, czego nawet najkompletniejsze akta dać nie mogą: od-twarza atmosferę, daje wgląd za kulisy, charakteryzuje ludzi, którzy w życiu szkoły rolę odgrywali. I to bez retuszu lub pod różnymi kątami obserwacji. Demonstruje przy tym wszechstronnie piękny dorobek naszej międzywojennej (po zlikwidowaniu Centrum Wyższych Studiów

**SZYBKO I TANIO!**  
Biuletyny, ulotki reklamowe,  
druki jedno- i wielobarwne  
w y k o n u j ą  
ZAKŁADY GRAFICZNE  
**GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.**  
171, Battersea Church Road,  
LONDON, S.W.11.  
Tel. 01-228 0879

Wojskowych) najwyższej uczelni wojskowej a jej wykładowcom i słuchaczom przypomina ich najpiękniejsze, prawdziwie górne lata.

Ale nie tylko oni powinni się z nią zapoznać. Powinna ona zainteresować wszystkich, którym droga jest nasza przeszłość i tradycja wojskowa, do której kształtowania W.S. Woj. przyczyniła się w stopniu nie-małym.

Ponieważ zaś opisująca jej dzieje książka jest przebogata i niepotemkinowską kopalnią wiadomości, warto nie tylko z nią się zapoznać. Warto ją mieć w podręcznej bibliotece — jako bardzo pożyteczny podręcznik wiedzy o ważnym odcinku naszej prawdziwie wolnej Ojczyzny i jako biały kruk. Tym białym krukiem stanie się ona niebawem, bo na półkach księgarskich zostało już tylko ok. 100 egzemplarzy I wydania, a o II. wydaniu nawet marzyć nie warto. A że warta jest swojej ceny, nie może ulegać wątpliwości.

Kazimierz Głabisz

## DLA SZKÓŁ

Już są do nabycia nowe wydawnictwa dla szkół przedmiotów ojczyństw:

ANNA BOGUSŁAWSKA

### POCZĄTKOWA NAUKA CZYTANIA

Przewodnik dla nauczyciela

Cena: 10 sh.

JADWIGA OTWINOWSKA

### UCZMY SIĘ PISAĆ — Zeszyt III

105 ćwiczeń oraz 10 tekstów przeznaczonych na dyktanda

Cena: 3 sh.

KSIEGARNIA S. P. K. — 20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

**B**ARDZO niedawno ukazała się książka w symbolicznie czerwonej okładce z niemniej czerwonym tytułem „Polski Marksizm“. Autorem jej jest niewątpliwie najlepszy znawca tematu spośród młodszego pokolenia. Henryk Skolimowski ur. w 1930 r. ma już za sobą wszystkie trzy etapy polskiego „pielgrzymstwa“. Dzieciństwo i młodość przeżył w Polsce niepodległej i pod okupacją niemiecką, początki wieku dojrzałego — w Polsce ludowej, no i ostatni, bieżący etap — na emigracji, poza krajem. Obecnie znajduje się na eksponowanym stanowisku akademickim z tytułem profesora (Associate Professor) amerykańskiego Uniwersytetu Południowej Kalifornii w Los Angeles. Jest doktorem filozofii Uniwersytetu Oxfordzkiego i autorem dwóch książek z historii filozofii polskiej. Jedna, pt. „Polska filozofia analityczna“ wydana po angielsku była już omawiana na tych łamach („O. B.“, Listopad 1967, str. 33-34). O drugiej, w języku polskim, będzie teraz mowa\*).

Trzymając się dobrej zasady, aby zaczynać zawsze od początku, trzeba najpierw zastanowić się nad samym tytułem książki, która ukazała się w ramach bardzo żywo prowadzonej serii wydawnictw „Odnowy“. Seria ta ma za sobą już 13 innych „tytułów“ na tematy ideologiczne, historyczne, społeczne, gospodarcze, polityczne, filozoficzne i religijne. Trudno o większy zasięg tematyczny na tak stosunkowo niewielkiej przestrzeni. Niemniej, jeśli idzie o sam tytuł „Polski marksizm“, to na pierwszy rzut oka wydaje się on za szeroki, w stosunku do zawartości książki. Dlaczego?

Jeśli idzie o recepcję myśli marksistowskiej w Polsce, to książka powinna cofnąć się o dobry wiek wstecz. Wobec tego, że autor tego nie czyni, a ma po temu pełne prawo, gdyż nie musi się zawsze wracać do przysłowiowego „Adama i Ewy“, należy tytuł ten brać z domyślnym dopełnieniem „współczesny“. Po prostu autor nie wraca do tego, co było oryginalnego w zakresie filozofii czy myśli filozoficznej w dziełach takich autorów, jak Ludwik Krzywicki

JAN OSTROWSKI

(1859-1941), Edward Abramowski (1868-1918) lub Adam Ciołkosz (ur. 1901). Krzyżanowski zdaniem Zbiżniewa A. Jordana (ur. 1911) wykażał w swym pojmowaniu historycznego materializmu „wielką niezależność umysłu“ („Philosophy and Ideology“, s. 57). A przez sam przymiotnik w tytule „polski“ marksizm, o którym mowa, staje się „neo-marksizmem“ lub — jak chcą inni — „rewizjonizmem“. W ten sposób marksizm ten odcina się od komunistycznej ortodoksji w ujęciu leninowsko-stalinowskim, któremu ulegają czynniki partyjne w Polsce pozostające pod przemożnym wpływem obcym. Zanołowano go już w r. 1930, gdy pisano „Tu ... mamy do czynienia z filozofią, która nie z uniwersytetów pochodzi i niełatwo znajdzie dostęp do katedr uniwersytetów państwowych“ (T. Kotarbiński „Wybór pism“ t. 2, str. 748). Święte słowa: „nie łatwo“, ale niestety — dostęp się znalazł.

Skolimowski rozpoczyna swe wywody od punktu zbornego, a jednocześnie rozstajów wszelkiej współczesnej myśli filozoficznej i społecznej w Polsce, a mianowicie od Stanisława Brzozowskiego (1872-1911). Posunięcie bardzo efektowne. Czyni to zresztą z wielu słusznymi zastrzeżeniami, gdyż Brzozowski, istotnie, był jakiś czas marksistą. Ale wobec tego, że jest pewne małe niedopowiedzenie, warto je przy tej sposobności uzupełnić. Skolimowski stwierdza, że Brzozowski „stałe powracał do młodego Marksa“ i wyprzedził „najnowsze, wcale oryginalne teorie ludzkiej praxis rozwijane szczególnie przez marksistów jugosłowiańskich“ (1. c. p. 14). Ale, mimo że Brzozowski nie znał pism młodego Marksa, dopiero później odnalezionych, to jednak w swej „Filozofii romantyzmu polskiego“ z 1906 r. pisał m.in.: „Dziś, gdy znaczna część umysłów polskich pozostaje pod wpływem Marksa, gdy stał się marksizm dla wielu katechizmem... gdy wreszcie w jego duchu i pod jego kierownictwem przystępuje się do odrodzenia Polski z całą siłą stwierdzać i przekonywać należy, że pod tym znakiem odrodzenie to się nie dokona“. I poprzedził to uwagą: „Pora, aby marksizm przestał

## O FILOZOFII

przesłaniać wielką i istotną treść wyzwolenia ludzkości... Prawdziwie... płodnym i istotnie rozwiązującym zagadnienie, przeciwstawione przez Feuerbacha filozofii Hegla, jest stanowisko, jakie wyznaczył i określił Cieszkowski, przeciwstawiając myślipoznaniu — czyn-spełnienie“. Tako rzekł Brzozowski 65 lat temu. Cóż jest do dodania dziś? Chyba znów — święte słowa, czyli, że droga do odwrócenia obecnej sytuacji nie będzie łatwa, ale odwrócenie nastąpi!

Starając się odcedzić niejako chemicznie — czystą postać polskiego neomarksizmu Skolimowski zastrzył trochę jego oryginalność, odcinając go od tego, co w zakresie twórczego rozwinięcia myśli marksistowskiej uczyniono nieco wcześniej na zachodzie. (Np. György Lukacs (ur. 1885), Ernst Bloch (ur. 1885), Auguste Cornu (ur. 1888), Henri Lefebvre (ur. 1901), Jean Hyppolite (ur. 1907)). Stąd w pewnym stopniu uzasadniona jest opinia o nieoryginalności neomarksizmu. Tylko w takiej mierze, w jakiej odnosi się do pierwotnych źródeł, gdyż o ile chodzi o jego wtórne oddziaływanie i odrębne ujęcie, to rzecz przedstawia się nieco inaczej, bo istotnie obecnie jest passa wielkiej chłonności na polski marksizm na zachodzie. Wystarczy wskazać tylko na wydawnictwa amerykańskie, angielskie, francuskie i niemieckie dzieł dwóch głównych współczesnych przedstawicieli marksistowskiej myśli filozoficznej: Leszka Kołakowskiego (ur. 1927) i Adama Schaffa (ur. 1913). Poprzez nie bowiem sączą się wpływy rewizjonistyczne na marksizm współczesny.

Po tych — jak się zdaje — niezbędnych komentarzach wstępnych, trzeba powrócić do omówienia dalszej zawartości książki. Po uwagach wstępnych, zawierających również wskazania metodologiczne, i po przedstawieniu sylwetki „prekursora twórczego marksizmu w Polsce“ S. Brzozowskiego, Skolimowski daje wzięty rozdział o filozofii analitycznej i innej z okresu międzywojnia. To jest temat, który autor ma już w małym paleu. Nasuwają się tutaj dwie uwagi: licencji popularyzatorskiej zawdzięcza czytelnik przypisanie „Prin-

\*) Henryk Skolimowski „Polski Marksizm“, Londyn, Odnova, 1969, str. 99.



# MARKSISTÓW POLSKICH

cipia mathematica“ wyłącznie Bertrandowi A. Russellowi (ur. 1872) z pominięciem Alfreda N. Whiteheada (1861-1947), oraz „heroicznego okresu filozofii“ polskiej — latom 1930-tym, gdy rzeczywiście były to lata 1920-te i z tych lat zacytowane są słowa Jana Łukasiewicza (1878-1956) ogłoszone w „Wiadomościach Literackich“ z 11 maja 1924 roku.

Rozdział kolejny zatytułowany „Okres starcia“ poświęcony jest napaści marksistów (jeszcze ani „neo“, ani nie „rewizjonistów“) na inne kierunki filozoficzne w Polsce w latach 1950-1955. Przynosi on dokładniejsze szczegóły w druku o wstydliwie przemilczanych w swoim czasie represjach wobec czołowych profesorów na uniwersytetach i w wydawnictwach naukowych. Mimo to — stwierdza Skolimowski — „filozofowie analityczni nie padli pod atakiem marksizmu“ i „Po r. 1956 marksieści stracili monopol (na pewien czas przynajmniej) na drukowanie, naprawdę“.

Marksieści sami musieli przyjąć metody myślenia analityków i na tej drodze powstał polski rewizjonizm. Następne dwa rozdziały poświęcone są dwóm czołowym przedstawicielom neomarksizmu: Leszkowi Kołakowskiemu, jako „fenomenowi polskiego marksizmu“ i Adamowi Schaffowi, jako umysłowi uwięzionemu w potrzasku ideologii. Wobec porównania się ostatnio ich losów, autor kierując się dobrocią serca traktuje ich według tego, co nam się wydaje „taryfą ulgową“. O perypetiach Kołakowskiego czytelnicy „Orla Białego“ byli informowani w związku z omówieniem jego książki „Marksizm i co poza nim“ („O. B.“ z września 1969 r. str. 30-31). Nie ma tu co się powtarzać i po rozwinięciu ich lepiej sięgnąć już do omawianej książki, w której prof. Skolimowski mówi o nim z wielkim zrozumieniem i uznaniem. Trochę chłodniejszy jest jego stosunek do Schaffa, który nigdy nie zdobył się na tak wyraźne przeciwstawienie się ortodoksji, jak to uczynił Kołakowski. Dziś dawny absolwent Moskiewskiego Instytutu Filozoficznego z czasów wojny wzięty został z wysokich stanowisk w Polskiej Akademii Nauk i wpływów

organizacyjnych i politycznych. Obiektywizm każe Skolimowskiemu przyznać, że Schaff „wyróżnił się jako inicjator nowych idei i nowych problemów“ i że posiada „pozycję pionierską we współczesnym marksizmie“ (1. c. str. 88). Ale trzeba dodać tutaj, że to nastąpiło po okresie odrażającego serwilizmu wobec swych moskiewskich protektorów.

Przedostatni rozdział omawiający książki dotyczy młodego pokolenia wybitniejszych marksistów oraz podziałów szkolnych wśród nich. Są tam logicy, filozofowie nauki, historycy filozofii, etycy, estetycy. Wszystkich niemal łączą tendencje rewizjonistyczne, lub jak chce nasz autor, dążenia twórcze. Chęć ulepszenia, rozwinięcia, uściślenia marksizmu, bez żadnej jednak chęci wyjścia poza jego szranki. Przy sposobności autor wskazuje niektóre podobne tendencje twórcze wśród marksistów jugosłowiańskich, czechosłowackich lub węgierskich. Całość zamyka rozdział o „Paradoksie polskiego marksizmu“. Zaplątanych w tym paradoksie ma być wielu „znakomitych“ filozofów. Może wystarczyłoby powiedzieć „wybitnych“. Ale nie chodzi tu o tego rodzaju „odcienie“ słowne — lecz o to, że dokonawszy „rewolucji“ powinni się stać „konserwatystami“, aby bronić swoich zdobyczy. Toteż ten paradoks jest też słusznym ich tragedią, przypominającą „prastarą opowieść o potworze, który pożera własne dzieci“. Sytuacja uległa przy tym o tyle odwróceniu, że oficjalna prasa w Polsce w r. 1968 roniła krokodyle lzy nad losem atakowanych w latach pięćdziesiątych czcigodnych profesorów, jak Kotarbiński, Ajdukiewicz, Ingarden lub Tatarkiewicz, atakując natomiast tych, którzy tamtych krytykowali. W ten sposób czynniki kierownicze wykazały pogardę dla „twórczego dorobku myśli marksistowskiej“. Jakkolwiek napętuje się odpowiedzialnych za to, pozostanie faktem, stwierdzonym przez przedstawicieli ortodoksji komunistycznej m.in. na XIV Kongresie Międzynarodowym filozofii w Wiedniu w r. 1968, że marksizm ortodoksyjny jest nienaruszalnym „monolitem“. Tym bardziej zrozumiałe

jest oburzenie młodego autora i jego wniosek, że „Polska myśl twórcza jest obecnie w okowach ideologicznej bzdury“, jak i nadzieje jego, że jeśli myśl polska wykaże taką samą prężność, która pozwoliła jej przetrwać lata pięćdziesiąte, to „przetrwa ona i obecny okres panowania ciemnogrodu“. Na razie autor podsuwa surrealistyczną radę aforysty Stanisława Leca (ur. 1909): „Trzeba tak pomnożyć ilość myśli, by nie starczyło dla nich dozorców“. Tymczasem życie na to odpowiada, że zawsze znacznie łatwiej znaleźć dozorców, niż prawdziwą myśl.

Przekład tekstu przy całych trudnościach jakie nasuwa jest bardzo dobry. Oczywiście, nie znaczy to, że nie było usterek, lub że nie można by się spierać o poszczególne wyrażenia. Na conceptual framework wystarczyłoby „system przyjąć“; zamiast „nadziewamy się na problem“ wystarczyłoby „natknąć się na zagadnienie“, zamiast dziwacznych „końskich klap“ poprawne „okulary końskie“; zamiast „sfrustrowany“ — zawiedziony; „dostatecznie niesprecyzowany“ budzi uśmiech, chodziło o „niedostatecznie sprecyzowany“; itp.

Szata graficzna jest staranna, co tym trudniej osiągnąć, że książka jak i cała seria, drukowana jest poza Anglią, która wciąż ma, na ogół, najlepsze warunki do wykonywania druków polskich. Z błędów drukarskich, bardzo nielicznych, wspomnimy tutaj tylko te, które są w nazwiskach, więc: zamiast Augustyniak, winno być Augustynek (str. 91) oraz zamiast G. (ajo) winno być M. (ichajło) Markowicz (przypisek na str. 95). Autorstwo projektu efektownej okładki nie jest podane, jak i nazwisko tłumaczki. Oboje zasługują na wymienienie. Na tylnej stronie okładki jest dobra fotografia autora z notą biograficzną. Gdyby był jeszcze indeks, choćby tylko nazwisk, to nie można by sobie życzyć już niczego więcej.

Jan Ostrowski

CZY JESTEŚ

CZŁONKIEM

S. P. K.?

# Przeгляд spraw wojskowych

**ROKOWANIA „SALT“ W HELSINKACH.** Po długich zakulisowych przygotowaniach rozpoczęły się 17 listopada 1969 roku w Helsinkach bezpośrednie rozmowy amerykańsko-sowieckie mające ograniczyć opętańczy wyścig w dziedzinie broni strategicznych i dlatego nazywane „SALT“ („strategic arms limitation talks“). Rokowania te nie mają jednak na celu zredukowanie czy zamrożenie lub zlikwidowanie strategicznych broni niekonwencjonalnych w ogóle. Są próbą zaoszczędzenia obu supermocarstwom zawrotnie kosztownego rozszerzenia ich wyścigu na działy broni przeciw-rakietowych (ABM = „antiballistic missiles“) oraz wielogłowicowych pocisków (MIRV = „multiple independently targetably reentry vehicle“). Według oceny Pentagonu — oba mocarstwa wyścig ten dopiero rozpoczęły, przy czym Sowiety rzekomo przodują w dziale „ABM“ a Stany Zjednoczone w dziale „MIRV“.

Jeśli ta ocena jest trafna, każda strona mogłaby przynajmniej w jednej z tych dziedzin negocjować z pozycji siły. Niestety, dział „ABM“ jest daleko ważniejszy, bo wielokrotnie kosztowniejszy. Realizacja pełnego programu „Sentinel“, opartego na rakietach „Spartan“ i „Sprint“ kosztowałaby Amerykę około 100 miliardów dolarów, natomiast wyposażenie rakiet „Minuteman III“ i „Poseidon“ w podzielne głowice „tylko“ 17 miliardów. Na domiar złego montowanie systemu „Sentinel“ (na razie za 5 miliardów dolarów) zosła wstrzymane, choć najgłówniejsze centra sowieckie rzekomo są już otoczone wyrzutniami rakiet przeciw-rakietowych.

Rzecz jasna, że dla Sowietów kontynuowanie wyścigu w tych dziedzinach jest co najmniej tak samo uciążliwe, jak dla Ameryki i dlatego mogą pójść na ugodę i nawet ją lojalnie wykonywać, licząc na to, że brak czynnej obrony przeciw-rakietowej pogłębi pacyfistyczne czy izolacjonistyczne a nawet defetystyczne nastroje w masach amerykańskich, natomiast mas sowieckich nie zbulwersuje. Ułatwiłoby to osiągnięcie głównego celu Kremla, którym jest wymanewrowanie Ameryki z Europy i skłócenie państw zachodnioeuropejskich przez zmniejszenie prawdopodobieństwa zaryzykowania przez Amerykę rozpetania wojny atomowej w ich obronie.

Do tego dochodzi niebezpieczeństwo obchodzenia postanowień ewentualnej umowy przez Sowiety, które oczywiście i w tym wypadku na kontrolę naziemną w żadnym wypadku się nie zgodzą. Szpiegowskie satelity, które latają zarówno nad Rosją jak nad Stanami Zjednoczonymi, nawet w przybliżeniu jej nie

zastąpią. Nawet po wprowadzeniu uniwersalnego satelity tego typu „949“, który ma łączyć możliwości dotychczasowych pięciu typów: „Ferret“, „Midas“, „770“, „823“ i „920“. Zwłaszcza, że wydajność amerykańskiego wywiadu agencyjnego jest i musi być bez porównania mniejsza niż sowieckiego, ułatwiona przez prasę i 5-tą kolumnę.

Toteż rokowania w Helsinkach, które w razie doprowadzenia do ugody i lojalnego jej wykonywania mogłyby się przyczynić walnie do odprężenia i zmniejszenia ciężarów zbrojowych, mogą stać się pułapką, nazywaną przez Anglików „booby trap“. Zwłaszcza, że przewaga konwencjonalnych sił naziemnych czerwonego Wschodu nadal wzrasta, a przewaga niekonwencjonalnych broni i sił morskich Zachodu maleje.

**STANY ZJEDNOCZONE A. P.** Ze Waszyngtonu zamierza (pod naciskiem ślimaczącej się wojny w Wietnamie i kłopotów wewnętrznych oraz celem zmuszenia sojuszników do zwiększenia ich wkładu) kontynuować likwidację czy redukcję baz wojskowych, pisałem już we wrześniowym numerze „Orła“. Ostatnio sekretarz obrony Laird ujawnił, że ta akcja ma objąć aż 307 baz, co prawda przeważnie krajowych, by zaoszczędzić ok. 3 miliardy dolarów. Dalsze oszczędności ma umożliwić stopniowe zmniejszanie stanów liczebnych wszystkich trzech części sił zbrojnych, dodatkowe wycofanie 50 tysięcy żołnierzy i lotników z Wietnamu, o ile sytuacja na to pozwoli, zrewidowanie niektórych — umów wojskowych wiążących Stany Zjednoczone aż z 60 państwami — po myśli oświadczenia prezydenta Nixona, że nie mogą one być policjantem całego wolnego świata — wreszcie tymczasowe, zrezygnowanie z różnych kosztownych zamierzeń, zmniejszenie w lotnictwie ilości „loto-godzin“ obowiązkowych o 6 procent itd. Na razie mówi się o zmniejszeniu stanów o 120.000, w związku z czym pobór w styczniu ma być zredukowany z planowanych 35.000 do 12.500, ale w kongresie panuje tendencja do daleko większych redukcji pod warunkiem możliwości zakończenia działań w Wietnamie. Niestety, znaczną część oszczędności pochłonie zwiększenie żołdu i pensji, kosztujące 2,1 miliarda rocznie więcej, wobec czego jest wątpliwe, by kredyty na niewątpliwie konieczną modernizację marynarki wojennej, w której 58 procent okrętów ma ponad 20 lat, mogły być zwiększone o ponad 3 miliardy, jak tego się domaga jej „szef operacji“, admirał Moore.

Grozącą redukcją stanów liczebnych i baz zamorskich jest bodaj najwięcej

zaniepokojny szef sztabu wojska, gen. Westmorland, jak to wynika z obszernego wywiadu udzielonego tygodnikowi „U. S. News and World Report“, w którym słusznie podkreślił, że „big lift“ ich nie zastąpi, nawet po wyprodukowaniu masy olbrzymich transportowców „C-5-A“, bo potrzebne są dla nich odpowiednie i zabezpieczone instalacje na miejscu lądowania i bo tak czy inaczej gros żywienia ewentualnego konfliktu zbrojnego musi iść drogą morską. Tak np. do Wietnamu aż 96% dostaw sprzętu, amunicji, żywności itd. dostarczają statki morskie, a tylko 4% samoloty. Odnosi się sceptycznie także do możliwości całkowitego zrezygnowania z poboru, choć zdaje sobie sprawę z tego, że tak wysoce utecnicznione siły zbrojne jak amerykańskie wymagają możliwie wysokiego procentu długoterminowych. Obawia się bowiem, że ilość ochotników nie pokryłaby minimalnych potrzeb i że armia zawodowa, nawet zredukowana, byłaby zbyt kosztowna.

Oficjalne zrezygnowanie z broni biologicznych i warunkowo także z chemicznych wywołuje w kołach wojskowych dodatkowy niepokój, nie mówiąc już o gwałtownej rozdurowie sowieckiej floty wojennej i handlowej. Toteż, choć na dorocznej konferencji Rady Atlantyckiej Laird nie straszyl redukcją sił i baz amerykańskich w Europie, zarówno on jak gen. Goodpaster apelowali do sojuszników o zwiększone wysiłki i jedności — mimo szukania odprężenia.

Kage

**BIBLIOTEKA  
„KULTURY“**

**Kazimierz Wierzyński**

**CZARNY  
POLONEZ**

*Poezje*

**WYDANIE DRUGIE**

Cena: 12 sh., 1.75 dol. 7.00 f.

**KSIĘGARNIA S.P.K.**

LONDON, S.W. 7.

20, QUEENS GATE TERRACE,



# BREDA PO 25 LATACH

„DZIĘKUJEMY WAM POLACY“



Gen. Maczek przejeżdża ulicą swego imienia w Bredzie. W tyle czołgu chor. 1. pułku Panc. B. Opolski ze sztandarem S. P. K.

W 25-rocznicę wyzwolenia na ulicach Bredy — tego najbardziej polskiego miasta w Holandii — pojawiły się ponownie tak dobrze znane żołnierzom 1. Dywizji Pancernej napisy po polsku „Dziękujemy Wam Polacy“.

Pod tym hasłem bowiem Breda obchodziła 25 rocznicę swego wyzwolenia i gościła w charakterze gościa honorowego swego honorowego obywatela, dowódcę zwycięskiej 1. Dywizji Pancernej, generała Stanisława Maczka.

Gen. Maczkowi zgotowano w Bredzie szereg owacji: od wielokrotnych tradycyjnych polskich „Sto lat...“ do holenderskiego hymnu na cześć Polski, którego refren śpiewała cała widownia, a który po polsku brzmi następująco:

„Generale, dzięki Tobie i Żołnierzom  
Twoim,  
Za oszczędzenie nam zniszczeń i męki,  
Jako Bohatera swego,  
Breda cześć Cię będzie zawsze.  
Narodowi Twemu, życzymy  
zwycięstwa,  
Polsce, należnego jej miejsca,  
Wśród narodów świata“.

Kulminacyjnym punktem obchodu był triumfalny przyjazd gen. Maczka na czołgu ulicą swego imienia pod pomnik polski w parku „Wilhelminapark“, gdzie tłum mieszkańców z burmistrzem i Komitetem Obchodu na czele, powitał Generała i maszerujących za czołgiem żołnierzy 1. Dywizji Pancernej długotrwałymi oklaskami. Obok Generała, ze sztandarem SPK w Holandii jechał w czołgu chorąży 1. Pułku Pancernego p. B. Opolski.

Pluton honorowy wojska holenderskiego sprezentował broń, a orkiestra odegrała „Jeszcze Polska nie zginęła“. Prezes Komitetu „Nederland-Polen“ dyr. J. Quadekker w serdecznych słowach powitał Generała i kombatantów polskich, po czym przemówienie powitalne wygłosił burmistrz Bredy p. Merkx. Po odegraniu hymnu holenderskiego pod pomnikiem złożone zostały wieńce, a następnie gen. Maczek pochodnią przyniesioną przez sztafetę atletów, zapalił przed pomnikiem „Znicz Wolności“.

Dzieci wypuściły baloniki, po czym

dziewczynki z ulicy im. Generała (Generaal Maczekstraat) wzięły Generała i burmistrza za rękę i zaprowadziły na swoją ulicę, gdzie generał pod tablicą swego imienia zawiesił wieniec kwiatów.

Stąd w otwartych powozach, wzdłuż szpaleru wiwatującej ludności udano się do ratusza, gdzie Generała z otoczeniem i zaproszonych gości podejmowano szampanem, a następnie w pobliskiej restauracji „Auberge De Arent“ galowym obiadem.

Po obiedzie gen. Maczek z balkonu ratusza przyjął hołd bredziańskiej młodzieży, na który złożyły się występy i popisy licznych zespołów młodocianych doboszy i trębaczy, zakończone wspólną defiladą.

Następnie w hotelu „De Kroon“, gdzie 25 lat temu mieściło się dowództwo dywizji, odbyło się spotkanie gen. Maczka z Zarządem SPK w Holandii. Prezes SPK. inż. J. Minkiewicz ze wzruszeniem w głosie wręczył gen. Maczkowi ozdobnie wykonany dyplom honorowego prezesa SPK w Holandii, która to godność nadana została zwycięskiemu dowódcy 1. Dywizji Pancerniej przez tegoroczny zjazd SPK w Holandii.

Wieczorem w największej i nowoczesnej sali miasta odbył się „Otwarty polski wieczór“, który zagał prezes Komitetu „Nederland-Polen“ dyr. J. Quadekker, a na którego program złożyły się m.in. utwory Chopina, Moniuszki i Paderewskiego w wykonaniu polskich artystów: Ireny Skomorowskiej — sopran, pianistki Ireny Stachowskiej, Antoniego Dutkiewicza — bas, oraz W. Śpiewakowskiego (piosenki żołnierskie).

Na zakończenie cała publiczność powstała, zwróciła się do loży Generała i rozbrzmiała żywiołowym hymnem na cześć Polski, a po każdej zwrotce dwukrotnym refrenem na cześć gen. Maczka.

Po tym spontanicznym wyrazie uczuć i niemilkących owacjach, generał z otoczeniem odjechał do ratusza, gdzie podejmowany był okazałym bankietem. I znowu tutaj li-

ężne toasty na cześć Generała i żołnierzy Dywizji. Gen. Maczek przekazuje medale pamiątkowe Dywizji dla miasta Bredy, Komitetu „Nederland-Polen“, dla Holenderskiego Komitetu Opieki nad Grobami Wojennymi oraz dla prastarej Królewskiej Akademii Wojskowej w Bredzie.

Następny dzień obchodu, niedziela — a zasługuje to na specjalne podkreślenie — rozpoczęto uroczystą mszą św. w... protestanckim zabytkowym reformowanym kościele „De Grote Kerk“. Na podkreślenie zasługuje wielkoduszny pojednawczy gest rady zboru reformowanego na odprawienie z okazji wyzwolenia miasta, katolickiej mszy w tym kościele, pierwszej od czasów reformacji. Kościół zajęty był do ostatniego miejsca. Gościem honorowym był gen. Maczek, ale obok niego na tym imponującym nabożeństwie obecni byli m.in. również komisarz królowej dr Kortman, biskup Bredy ks. Ernst, burmistrz p. Merckx oraz prezydent-kurator zboru p. W. van Redee.

Ta uroczysta dziękczynna msza św. w reformowanym kościele, podczas której mieszany chór Ulvenhout wykonał Missa Brevis Haydna, była celebrowana przez dziekana Bredy ks. F. Backx w asyście polskiego duszpasterza ks. Deji oraz pastora ewangelickiego ks. R. van Voorts Vader. Po bokach ołtarza stały sztandary polskich organizacji i młodzież z rodzin polsko-holenderskich w nasyconych strojach narodowych.

Po nabożeństwie udano się na cmentarz Dywizji „Zuilen“. Przy wejściu gen. Maczek powitany został przez komisarza królowej w asyście dowódców wojskowych. Wokół cmentarza w skupieniu rzesze ludności. Po odegraniu „Last Post“, dziewczęta na każdym grobie składają wiązkę białych i czerwonych kwiatów. Modlitwom księży wtórują wszyscy obecni. Po tym składanie wieńców pod pomnikiem. Pierwszy wieńiec składa komisarz królowej dr Kortman, za nim gen. Maczek, burmistrz p. Merckx, prezes SPK inż. Minkiewicz z delegatem Dywizji p. J. Kowalskim, przedstawiciele innych polskich organizacji, Komitet „Nederland-Polen“ oraz przedstawiciele holenderskiego Komitetu Opieki nad Grobami Wojennymi.

Po południu liczne rzesze Polaków i Holendrów zebrały się wokół kapli-

cy Matki Boskiej Częstochowskiej. Dzieci polskie i holenderskie żony Polaków złożyły u stóp ołtarza kwiaty i odśpiewały kilka pieśni Maryjnych.

Skromne w założeniu, ale może tym bardziej wzruszające było oddanie hołdu poległym na cmentarzu Ginneken. Na tym małym skrawku polskiej ziemi zabrakło miejsca dla wielu uczestników obchodu. Gen. Maczek stał przez chwilę nieruchomo przed kamiennymi krzyżami grobów poległych „za naszą i waszą wolność“ żołnierzy 1. Dywizji Panczernej. Generał złożył na jednym z grobów wieńiec, a po nim uczynili w imieniu zarządu miejskiego ławnik p. J. van Bijnen oraz prezes Komitetu „Nederland-Polen“ dyr. Quadeker.

Wieczorem w domu młodzieżowym „Jeugdland“ w Ulvenhout, odbyło się wręczenie gen. Maczkowi srebrnej plakiety honorowego obywatelstwa gminy Nieuw Ginneken-Bavel. Następnie w największej sali odbyło się zebranie żołnierzy Dywizji i wspólna kolacja. Przy obficie zastawionych stołach zasiadło ponad 400 osób. Wzruszony entuzjazmem ich powitania, gen. Maczek przemówił serdecznie do swoich żołnierzy. W miłym nastroju spędzono kilka godzin urozmaiconych tańcami i śpiewem polskiego zespołu „Polonia“ z Bredy.

Powyższe uroczystości odbyły się w dniach 1 i 2 listopada 1969 roku. Wstępem do tych imponujących uroczystości była akademie w tym samym zabytkowym protestanckim kościele „De Grote Kerk“, która odbyła się wieczorem 31 października. Na jej program złożyły się dwa referaty, urozmaicone występami chóru męskiego. O wolności i jej wartościach mówił obszernie parlamentarzysta holenderski dr Y. van der Werff, podczas gdy ze strony polskiej referat o b. żołnierzach Dywizji Panczernej w Holandii wygłosił inż. W. Śpiewakowski.

Imponujące uroczystości z okazji 25-rocznicy wyzwolenia w Axel i Bredzie wykazały, że pomimo upływu wielu lat pamięć 1. Dywizji Panczernej w Holandii nadal jest żywa.

Bogumił Strenk

## Anglik

W LISTOPADZIE 1969 r. w czterech dodatkach niedzielnych *Sunday Telegraphu*, zdolny publicysta Duff Hart — Davis poddał analizie tzw. „*Permissive society*“ Anglii, to jest jej społecznej sytuacji. Wnioskiem tej analizy jest, że Anglia współczesna jest w psychologicznym rozkładzie. Argumentem zaś stwierdzającym ten fakt jest jej ewolucja w ciągu ostatnich lat 10-ciu z zasad wiktoriańskiego purytanizmu w społeczeństwo „pobłażliwe“, o wielu cechach ujemnych, osłabiających jego odporność duchową i tym samym polityczną, a nawet wojskową!

Znamienną cechą jest np. dla dzisiejszej Anglii jej swoboda seksualna, za której bezpośrednią przyczynę należy uznać tzw. „pigułkę antykoncepcyjną“. W pojęciu kobiety równą ją ona z mężczyzną, pozwalając na współżycie z mężczyzną dowolnie i bez obawy zapłodnienia, bez ślubu czy przed ślubem. Pomimo tej „pigułki“, którą — rzecz charakterystyczna — można dzisiaj swobodnie nabyć w studenckim barze w Oxfordzie — ilość „nieprawych“ dzieci bynajmniej się nie zmniejszyła. Wedle Duffa Hart-Davisa, w 1967 r. urodziło się w Anglii 46.000 nieślubnych dzieci, istnieje zaś 950 klinik udzielających darmowej pomocy kobietom pragnącym sztucznego poronienia.

Ma się rozumieć, cierpi na tym rodzina, która zresztą nie posiada obecnie dawnego autorytetu ani wychowawczego znaczenia. Dorastająca młodzież, łatwo zarabiająca, uniezależnia się szybciej od wpływu domu, tym bardziej, że w wielu wypadkach rodzice bywają dla własnych dzieci złym przykładem.

Wreszcie, zewnętrzny typ życia podnieca ogólną seksualność, choćby wyzwoleniem jej z uprzednich rygorów oficjalnego cenzora, który pewnego dnia liberalną uchwałą parlamentu przestał istnieć. W następstwie tego, nagość żeńska i męska na scenie, w filmach i kabaretach są zjawiskiem dopuszczalnym, tym bardziej, że handlowo korzystnym. Tym więcej telewizja, łatwo dostępna w każdym domu, wnika swą treścią w biezące zjawiska życia człowieka,



oswajając z jego schorzeniami fizycznymi czy psychologicznymi. Pedestria, lesbianizm, kazirodztwo są tematem wielu sztuk scenicznych, przy tym są one traktowane realnie, jako przykłady życia codziennego. A cóż dopiero kradzież i morderstwa, które stały się dla widzów, jakby nauką sposobu ich dokonania. Kradzieże w domach prywatnych lub napady na banki, mnożące się z dnia na dzień, których dokonuje najczęściej młodzież lat 20-25-ciu, dowodzą obniżenia moralności publicznej, z którą ani społeczeństwo ani policja nie daje sobie rady.

W pierwszym ze swych artykułów Duff Hart-Davis przytacza raport sekretarza Towarzystwa Bezpieczeństwa Przemysłowego P. Hamiltona, który ocenia niedopłacone podatki 10.000 poważnych firm i 57.000 osób poszczególnych, na 300 milionów funtów, co jest poważną stratą budżetu państwowego, której władze administracyjne nie są zdolne zapobiec. Rozumowaniem tych „niewypłacalnych“ jest, że rząd, który już ich zawiódł i spowodował ich straty, więc oni świadomie odgrywają się kosztem rządu, zapominając, że odbija się to na całości społeczeństwa.

Swoistym elementem społecznego rozkładu Anglii jest jej... młodzież. Stwierdzić jednak trzeba, że ujemna postawa młodzieży jest zjawiskiem nie tylko angielskim, ale ogólnoeuropejskim, a przede wszystkim amerykańskim. Młodzież jest bowiem w buncie, nie bardzo wiedząc przeciw czemu — w zasadzie przeciw tzw. establishment, tj. normalnemu porządkowi rzeczy. Stąd jej ekscentryczne stroje, długowłose i nieuczesaone żeńskie czy męskie fryzury, dzwięczące ozdoby jej ubrania, brak celu życia... Istotą bowiem życia tzw. hippisów — jest ... lenistwo, a charakterystyczną cechą jest brak patriotyzmu. Pojęcie narodu czy ojczyzny jest to dla dzisiejszej młodzieży pojęcie wstydlive, prawie że godne pogardy! Prawda, że społeczeństwo ją zwodzi, każąc się uczyć, kończyć szkoły, opanowywać jakiś fach, na który później młodzież nie znajduje zapotrzebowania, więc czuje się upra-

wnioną do życia za darmo i żąda zmiany stosunków, nie wiedząc czego żądać, poza końcem wojny w Wietnamie!!!

Niegdyś, zdrowym upustem temperamentu młodzieży był przymus służby wojskowej, zwłaszcza w dalekich koloniach Brytyjskiego Imperium. Służba ta była co najmniej automatyczną nauką geografii, czasem zaprawą wojenną. Wywoływała dumę przynależności do potężnego państwa, często budziła tęsknotę za domem rodzinnym, zwłaszcza za Londynem, który we wspomnieniu wydawał się szczytem wykwintu i wspańiałości. Dzisiaj, młodzież obija się między Bloomsbury i Piccadilly lub manifestuje na Trafalgar Square, potępiając wszystko co jest codziennym życiem otoczenia.

I, niestety, religia nie jest dzisiaj hamulcem obecnych bogobureczych zapędów społecznych. Duff Hart-Davis, sam będący anglikaninem, stwierdza, że Kościół anglikański nie ma obecnie najmniejszego wpływu na społeczeństwo. Lepiej jest z Kościołem katolickim, b. aktywnym. Chociaż ankieta z 1957 r. wykazała, że spośród „chrześcijan“ — 32% wogóle nie było w jakimkolwiek kościele. Technika zabija wiarę, narzucając człowiekowi fakty, czyli zwalając go od jakiegokolwiek dogmatu, a brak wiary, to brak odpowiedzialności człowieka wobec prawd bożych, więc zanik wszelkiej etyki, której obecnie brakuje Anglii.

Stąd troska i pytanie jak ratować Anglię, która bez nowej wojny i nawet wewnętrznego wstrząsu, stoczyła się w dół?

Duff Hart-Davis nie znajduje na swe pytanie odpowiedzi. Zwraca się więc do czterech osobistości, które budzą w nim zaufanie. Są to kardynał Heenan, którego zdaniem religia musi dowieść konieczności swego istnienia raczej na skutek swej mądrości życiowej niż w oparciu na uczuciu. Drugą osobistością jest Lord Soper, szef metodystów, który nie widząc możliwości powrotu wstecz, żąda od ludzkości wysiłku harmonijnego współżycia w dobrobycie i bez wojny. Pewnym ratunkiem stać się może powoływanie do życia grup spo-

łecznych, którym człowiek powinien dać ze siebie jak najwięcej, dzięki czemu może się do nich przywiązać. Jest to jedyna droga do odrodzenia patriotyzmu. Trzecim rozmówcą Duff Hart-Davisa, jest Alec Douglas-Home, ekspremier konserwatywny, który obawia się dla państwa wzmocnienia praw i ustawodawstwa, wymaga za to indywidualnego poczucia odpowiedzialności jego obywateli. Czwartym informatorem jest książę Filip, mąż królowej, dla którego podstawą istnienia społeczeństwa nie może być współczesny materializm, bez świadomości dobra i zła, oraz wizji ideału, który trzeba wypracować.

Wszyscy ci obserwatorzy Anglii, zgadzają się we wspólnym pojęciu, że nie wolno jej pozostawić w obecnym upadku moralnym, o ile nie ma ona zginąć, a z nią razem wszelkie ludzkie wartości społeczne i indywidualna ludzka godność, których zabraknie wówczas dla niej i dla świata.

## BIBLIOTEKA „KULTURY“

PAULINA PREIS

### BIUROKRACJA TOTALNA

Analizując tragiczne skutki, jakie sprowadza na społeczeństwo każda totalna biurokracja, autorka kreśli głęboki i trafny obraz klasy rządzącej w Polsce. Książkę tę można śmiało zestawzić z głośną NOWĄ KLASĄ Dżilasa, z tym, że jest ona o wiele bardziej aktualna, gdyż uwzględnia przemiany jakie zachodziły pomiędzy latami 1956—1969.

Str. 224.

Cena: 31sh., 18.50 F., 4.00 dol.

**Księgarnia SPK,**

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W.7.

## BIBLIOTEKA „KULTURY“

JERZY ANDRZEJEWSKI

### APELACJA

Powieść

Cena: 15 sh., 2.25 dol. 9.00 F.

**Księgarnia SPK**

20, Queens Gate Terrace,  
London, S.W.7.

WYSTAWA POŚWIĘCONA  
POLSKO-FRANCUSKIEMU  
BRATERSTWU BRONI

W dniu 22 listopada 1969 r. odbyło się w Bibliotece Polskiej w Paryżu uroczyste otwarcie wystawy poświęconej Polsko-Francuskiemu Braterstwu Broni od 1797 do 1815 w ramach obchodów dwusetnej rocznicy urodzin Napoleona.

Przed otwarciem wystawy odbyło się uroczyste posiedzenie Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego pod honorowym patronatem księcia Napoleona, które otworzył książę André Ponia-towski, prezes P.T.H.L. witając księcia Napoleona oraz wszystkich zebranych, po czym referat pt.: „Napoleon a Polska“ został wygłoszony przez członka P.T.H.L. p. Kazimierza Żółtowskiego.

Po odczycie odbyła się inauguracja wystawy zawierającej wielką ilość bogatych i cennych eksponatów z okresu napoleońskiego w Polsce, a więc obrazy, szkice, rysunki, listy, dekrety i zarządzenia Napoleona dotyczące Armii Polskiej itd. Należy tu podkreślić bogactwo zbiorów gromadzonych z pietyzmem przez długie lata przez kierowników Biblioteki Polskiej śp. ministra Fr. Pułaskiego, śp. dra C. Chowańca oraz ich współpracowników. Eksponaty te zostały umiejętnie przedstawione przez p. Kreta, który nie szczędził wysiłków i pracy przy organizowaniu wystawy.

Uroczystość ta świadczy o żywotności P.T.H.L. oraz administracji Biblioteki Polskiej, która pracując w warunkach trudnych, stale organizuje imprezy na tak wysokim poziomie, wzbogacając dorobek kulturalny polski i jego promieniowanie wśród obcych.

W dniu 18 grudnia 1969 r. odbyła się w kościele Inwalidów w Paryżu uroczysta ceremonia przeniesienia prochów syna Napoleona (Orlątka) do krypty kościoła Inwalidów. Minister E. Michelet reprezentował na tej uroczystości prezydenta Republiki Francuskiej.

W uroczystości tej wziął udział poczet sztandarowy S.P.K. Francja.

#### ZGON MARI KASTERSKIEJ

W dniu 7 grudnia 1969 r. zmarła w Paryżu p. Maria Kastarska, urodzona 2 lutego 1894 roku w Warszawie.

P. M. Kastarska ukończyła swe studia uniwersyteckie w Paryżu i uzyskała tytuł doktorów literatury i filozofii. Już w okresie jej studiów „Le Figaro“ i „Gazette de Lausanne“ publikowały jej artykuły. Współpracowała ona z pismami polskimi: „Świat“, „Kurier Warszawski“, „Tygodnik Ilustrowany“, „Pani“, „Bluszczy“ i z wieloma innymi. Współpracowała również z czasopismami francu-

## Z ŻYCIA POLSKIEGO

skimi, a mianowicie z „Revue de de France“, „La Revue Européenne“, „Les Nouvelles Littéraires“ i wielu innymi.

P. M. Kastarska napisała szereg książek, głównie poświęconych tematyce polskiej, a mianowicie: „Szkice polsko-rumuńskie“, „Miłość Prababki“, „Między Słowackim a Szopenem“, „Les Lys d'Anjou en Pologne“.

Zmarła współpracowała ze „Syreną/Orzeł Biały“, z miesięcznikiem „Polska Wierna“, „Ostatnie Wiadomości“, „Głos Katolicki“, „Wiadomości“ i z szeregiem innych czasopism emigracyjnych.

Zgon Pani Kastarskiej stanowi wielką i niepowetowaną stratę dla kultury polskiej, którą z taką miłością i oddaniem krzewiła wśród obcych.

#### ODZNACZENIA

Dowiadujemy się, że Krzyż Komatan-ta Europejskiego (Croix du Combattant Européen) został przyznany następującym naszym Kolegom: LUDA Stanisław, GACPARSKI Ryszard, MIKUS Stanisław, zamieszkałym w Paryżu i kol. NAWROCKI Zdzisław, zamieszkałemu w Metz.

„Syrena/Orzeł Biały“ przyjmuje we Francji abonament miesięcznika „NA ANTENIE“, interesującego wydawnictwa Rozgłośni Wolna Europa.

Prenumerata roczna dla prenumeratorów „Syrena/Orzeł Biały“ zniżkowa 12,50 F., którą należy wpłacać na:

.....C.C.P. 6365-22, Centre PARIS  
Ass. E.A.C.P. en France.

Na odcinku prosimy zaznaczyć:  
„Na Antenie“.

#### BELGIA

##### ZJAZD NACZELNEGO KOMITETU WOLNYCH POLAKÓW

W grudniu odbył się Wałny Zjazd Delegatów z 17 organizacji społecznych i partii politycznych. Sprawozdania ustępujących władz Zarządu Komitetu składali kolejno prezes, sekretarz i skarbnik,

Dorobek Komitetu jak wynikało ze sprawozdań był znaczny. Utworzenie Komitetu Honorowego w skład którego weszli: prezesi trzech stronnictw politycznych w Belgii, ministrowie stanu, rektorzy uniwersytetów, burmistrzowie miast Flandrii, uwolnionych przez polskiego żołnierza z 1. Dywizji Pancerniej, poza tym wiele osobistości ze świata nauki i politycznego.

Zarząd Komitetu reprezentował i działał wszędzie tam, gdzie interes Polski Niepodległej wymagał wystąpienia lub głosu Wolnych Polaków w Belgii. W sprawie najazdu wojsk Paktu warszawskiego na Pragę, wspólne z Intercomité, organizacją skupiającą uchodźcze organizacje Europy Środkowo-Wschodniej — urządzono olbrzymią manifestację z udziałem przedstawicieli świata politycznego Belgii. Przesłano list do ministerstwa spraw zagranicznych w Brukseli w sprawie doktryny Breżniewa, wysłano telegram do Papieża Pawła VI. i list do prezydenta Włoch w sprawie cmentarzy polskich we Włoszech, Sekretarz ONZ otrzymał list od Komitetu w sprawie ludobójstwa w Biafrze.

Impreza ogólnopolska miała miejsce w dniu 14 września 1969 r. zorganizowana wspólnie z SPK w 25-rocznicę uwolnienia Belgii przez 1 Dywizję Pancerną pod dowództwem gen. S. Maczka, który osobiście wziął udział w tej uroczystości wraz z delegacją z Londynu i liczną grupą swoich b. żołnierzy.

Nowy Zarząd został wybrany w tymże składzie. Jeden z wniosków zgłoszonych przez kol. S. Merle, a poparty przez kol. W. Drozdowskiego i R. Łuczaka, delegatów Pogoni, SPK i Koła 1. Dyw. Pancerniej dotyczył „poparcia akcji na rzecz b. żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych z ostatniej wojny światowej, zamieszkałych w Belgii w sprawie przyznania im „statusu kombatanckiego“. Został on przyjęty jednogłośnie. Zebraniu przewodniczył kol. J. Rząd.

S. K.

#### ANGLIA

##### KOMITET UCZCZENIA PAMIĘCI PREZ. STARZYŃSKIEGO

Z komunikatu przesłanego prasie wynika, że Komitet zebrał kwotę £ 446, za którą zakupiono granit na krzyż. Krzyż ten wykonany wg. projektu śp. prof. Pniewskiego wykonano w Szwecji i przesłano do Polski. Montaż krzyża został dokonany w r. 1968. Wg. informacji z Warszawy, „uzyskano ... imponujący efekt czarnego granitowego polerowanego krzyża wysokości 4-ch metrów na tle szaro-błękitnej ściany z surowego granitu.

Komitet we wspomnianym komunikacie przesyła podziękowanie organizacjom



oraz osobom indywidualnym, które złożyły ofiary na ten cel.

### UDANA IMPREZA KOŁA KOBIET ŻOŁNIERZY P.S.Z.

Koło to pod przewodnictwem kpt. Jadwigi Morozewiczowej rozwija wciąż ożywioną działalność. Latem ub. roku Koło obchodziło piękną uroczystość poświęcenia własnego sztandaru, który następnie był w grupie sztandarów na uroczystościach na Monte Cassino.

10 stycznia br. Koło urządziło bardzo udany bal PSK, który był okazją spotkania towarzyskiego wielkiej ilości byłych ochotniczek oraz b. żołnierzy 2 Korpusu. Bal zaszczylił swą obecnością gen. W. Anders witany serdecznie przez swych podkomendnych. W czasie balu wystąpiła Weronika Ignatowicz-Bell z repertuarem piosenek.

### ARGENTYNA

#### POLSKIE NAZWY LODOWCÓW ANDYJSKICH

Dwu lodowcom andyjskim — jednym z największych w Andach, nadano nazwy „Glaciar Ostrowski“ i „Glaciar Karpiński“. Nadanie tych nazw po upływie 35 lat jest dowodem, że sukcesy pierwszej polskiej wyprawy andyjskiej w latach 1933-34 dobrze się zapisały w historii alpinizmu. Oficjalny organ wydawniczy „Revista del Club Andino „Mercedario“ zamieszcza również zdjęcie „El Pico Polaco“, szczytu wysokości 6 tysięcy metrów, odkrytego wówczas przez Polaków i tak później nazwanego przez kartografię argentyńską.

#### 20-LECIE CHÓRU IM. SZOPENA

W Buenos Aires obchodził 20-lecie swego istnienia Chór im. Szopena, pozostający przez cały ten okres pod dyrekcją prof. A. Dyląga zasłużonego krzewiciela pieśni polskiej. Chór dał koncert jubileuszowy w teatrze „Astral“ w Buenos Aires. W czasie tego występu gen. Jacyna wręczył Chórowi Złoty Krzyż Zasługi.

### SZWECJA

#### OBCHÓD ROCZNIC 1918-1939 ORAZ 1944 ROKU

Staraniem polskich organizacji uchodźczych w Szwecji został zorganizowany w Sztokholmie, w lokalu organizacyj przy Jungfrugatan dnia 15 listopada wieczorem — uroczysty obchód rocznic.

- 1) 51-lecia odzyskania niepodległości Polski,
- 2) 30-lecia wybuchu II wojny światowej,
- 3) 25-lecia wybuchu Powstania Warszawskiego.

Po zagajeniu i wprowadzeniu sztandaru SPK, odbyło się pierwsze i pewnie niepowtarzalne w historii naszych organizacji w Szwecji uroczyste odznaczenie orderem Virtuti Militari rotmistrza Ryszarda Gogołowskiego w uznaniu jego bojowych czynów w A.K. w latach wojny. Wniosek na odznaczenie tym najwyższym orderem wojskowym rtm. Gogołowskiego złożył jeszcze dowódca A.K. gen. Bór-Komorowski, który Kapituła Orderu Virtuti Militari w Londynie obecnie w uznaniu tych zasług — przyznała.

Dekoracji orderem w zastępstwie chorego gen. Przyjałkowskiego dokonał — kol. Witold Szymaniak w obecności licznie zebranych rodaków.

Z kolei Panna Malinowska (córka długoletniego skarbnika Koła SPK) wręczyła rotmistrzowi biało-czerwone kwiaty.

Program wieczoru:

- 1) Referat o odzyskaniu niepodległości i wybuchu II-giej wojny światowej — kol. Witold Szymaniak.
- 2) Wiersz Kazimierza Wierzyńskiego „Święty Boże“ deklamował młody kol. M. Trokenheim.
- 3) Wspomnienia o Powstaniu Warszawskim wygłosił współuczestnik Powstania — kol. Marek Teleszowski.
- 4) Wiersz Kazimierza Wierzyńskiego „Zstąp Duchu święty“ deklamowała młodziutka kol. Renata Tucińska.
- 5) Kol. Jadwiga Kobówna (córka długoletniego prezesa Koła SPK w Västeras) odśpiewała wiązankę polskich pieśni żołnierskich i narodowych.

Po oficjalnej części wieczoru, odbyła się zabawa taneczna.

Tego roku po raz pierwszy odważyliśmy się zaprezentować zebrany poczet sztandarowy z najmłodszych, w osobach: 1. Piotr Jeżewski, 2. Michał Jeżewski, 3. Kazimierz Śleszyński, 4. Darek Trojanowski.

W. Sz.

### STANY ZJEDNOCZONE

#### 15-LECIE KOŁA SPK W PITTSBURGH

Przejawiające dużą żywotność Koło SPK w Pittsburgu obchodziło jesienią ub. roku piętnastą rocznicę swego istnienia. Uroczystość tę połączono z obchodem Święta Niepodległości i rocznicę polskiego czynu zbrojnego. Złożyły się na nią: nabożeństwo oraz akademie przygotowana przez prezesa Koła ppłk. Henryka Jaracza. W czasie uroczystości o 15-leciu Koła mówił ppłk. Jaracz, a przemówienie okolicznościowe wygłosił kol. Władysław Stępień z Chicago. Całości

programu dopełniła część artystyczna. Podczas akademii udekorowano zasłużonych członków Koła honorową odznaką SPK.

## WYDAWNICTWA BIURA STUDIÓW S. P. K.

J. WAWRZKIEWICZ:

SPK wczoraj, dziś i jutro.

J. ŻABA:

Młodzież w polskim życiu narodowym poza granicami Kraju.

Z. SZADKOWSKI:

Polskie organizacje młodzieżowe na uchodźstwie.

Cena: 1/6

S. PAPROCKI:

Oblicze ideowe młodzieży w Kraju.

Cena: 3/6

## KSIĘGARNIA S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

## BIBLIOTEKA „KULTURY“

### „Zeszyty Historyczne“ Z E S Z Y T XVI

zawiera m.in. prace:

Z. S. Siemaszko: POWSTANIE  
WARSZAWSKIE

A. Cieńciała: POLITYKA BRYTYJSKA  
WOBEC ODRODZENIA  
POLSKI, 1914—1918

J. Łukasiewicz: WSPOMNIENIA  
Z ROKU 1939

C. K. Żukow: O POWSTANIU WAR-  
SZAWSKIM I POLSCE

Szereg innych opracowań  
i zwykle działy.

Cena: 30 sh, 4.00 dol.

KSIĘGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,  
London, S.W. 7.

Prosimy uprzejmie Prenumeratorów „Orła Białego“ o adresowanie czeków i P.O. tylko na:

GRYF PUBLICATIONS Ltd.

# „CZEREŚNIE“ zamiast „CHLEBA“

Tak rzadkie są wystąpienia teatru emigracyjnego, że trzeba skorzystać z ostatniej sposobności, jaką nam on daje, aby trochę szerzej zastanowić się nad jego losem. Nawet gdy przypadek tak sprawił, że te rozważania przypadają z okazji omówienia sztuki szczególnie błażej. Ogarnąć myśłą wypada całych 5 lat ubiegłych i zacząć właśnie od chwili, kiedy poprzednie 25 lat zostało uczczonych jubileuszem i zarysowanych w przygotowanej do druku księdze. To, że mało kto o niej wie, lub chce ten fakt rozgłaszać, stanowi osobną historię.

Ostatnio Teatr Polski ZASPZ. wystawił komedię współczesną w 2 aktach Agnieszki Osieckiej, pt. „Apetyt na czereśnie“. Tytuł ten nasuwa metaforyczne refleksje na temat diety repertuarowej, jaką teatralna publiczność emigracyjna karmiona jest przez swój teatr. I od razu obserwatorowi tego teatru nasuwa się wniosek, że jakkolwiek czereśnie bywają świeże, słodkie i nawet pachnące, to jednak podawane zamiast chleba szybko brzydą. i co ważniejsze — nie odżywiają należycie, są w gruncie rzeczy rodzajem wody różanej, którą można apetyt oszukać, ale nie zaspościć.

Zastanówmy się nad dietą teatralną, jaką nas karmiono w wyżej wspomnianym okresie 5 lat. Dano 13 różnych sztuk dramatycznych, w tym było 5 autorów krajowych: S. Mrożek, J. Przędzicki, J. Abramow, A. Osiecka i wznowienie przedwojennej sztuki A. Słonimskiego, 2 autorów obcych: J. Kilty i F. Durremat, 3 autorów emigracyjnych: M. Hemar (2 premiery), W. Budzyński (2 premiery) i N. Sąddek (1 wznowienie). Wszyscy trzej zasłużyli dla sceny emigracyjnej, ale ani jednego nowego nazwiska, gdy nazwiska obce lub krajowe są niemal wszystkie nowe, jedynie Mrożka grano poprzednio. Czyż twórczość dramatyczna na emigracji nie wydaje nowych talentów, a jeżeli nie, to dlaczego? A to znów osobny temat, którego tutaj nie można rozwinąć.

Podobno kierownik artystyczny Teatru Polskiego ZASPZ miał podać następujące motywy wyboru

tej a nie innej sztuki na nową premierę: „Trzeba czasami odetchnąć po wielkich problemach narodowych i społecznych i schwytać na wędkę jakąś złotą rybkę, tylko dlatego, że jest piękna, chociaż niepotrzebna, a przez to tak bardzo konieczna!“. Można tylko przyklasnąć tej metaforze z paradoksalną pointą, gdybyśmy po problematach „Tango“, „Rodziny“, „Derby...“ i „Fizyków“ nie byli już dobrze odpoczęli na „Kwaterze...“, „Garści piasku“, „Pięknej Lucyndzie“, „Poczekalni...“ i „M. jak miłość“, abyśmy musieli odpoczywać na swego rodzaju splotnym „Kramie z czereśniami“.

Tym pękiem czereśni, jak przedtem „Gałązką jabłoni“ (Pełny tytuł poprzedniej sztuki Osieckiej „Niech-no tylko zakwitną jabłonie...“), przesłonięto widzom w Kraju, a teraz i na emigracji, smutne widnokreśli życia, osłodzone codzienne gorycze, zalapiono oczy płatkami różanym, tak iż wypadło ono niczym posłanie z kraju miodem i mlekiem płynącego. Tymczasem zakazane tam sztuki, odsłaniające prawdę, całą prawdę, a nie tylko sztuczne uroki życia, czekają od dobrego dziesiątka lat w zamkniętych na klucz szufladkach kierownictwa teatru. Tu publicznie nam przyrzekano w r. 1960 wystawienie „Niedziela przeminęła“ autora z Kraju. A na inne wskazują nam — Polakom — niemieccy badacze współczesnego teatru polskiego (Karl Hartmann (ur. 1923) „Das Polnische Theater nach dem zweiten Weltkrieg“, Marburg 1964, 126 s. p. s. 101). A więc „Złotą wieżę“ A. M. Swinarskiego z 1959 r. lub „Wejście i wyjście“ Leszka Kołakowskiego z 1961 r. zdjętą przez władze ze sceny po 2 przedstawieniach i bodaj potem pominiętą przez Almanach Sceny Polskiej. Takie są źródła natchnienia do kalendarza „Walczącego Polaka“, gdy zaczyna poddawać się euforii na przedpolu walki.

Wspomniana metafora dobrze charakteryzuje tę ograniczającą nas euforię. Dyrektor zabawia się w łowienie rybek w wodzie nie zawsze klarownego repertuaru krajowego. Tym razem idzie o sztukę autorki nagrodzonej na Wrocławskim Festiwalu

Polskich Sztuk Współczesnych, urządzonym dla uczczenia XX-lecia Teatru w Polsce Ludowej. Tam — jak pisze znany teatrolog polski Stanisław Marczak-Oborski — „nagrodzić przyszło rzeczy marginesowe: wdzięczną składankę typu rewiowego „Niech-no tylko zakwitną jabłonie...“ Osieckiej...“. Z tego faktu teatrolog krajowy wyciąga wniosek, że „pozytywów teatru nie należy szukać na jubileuszowych fetach“ („Życie teatralne w latach 1944-1964. Kierunki rozwojowe“ Warszawa, PWN., 1968, 308 s., p. s. 203). A „Czereśnie“ zostały wyhodowane na sukcesach „Jabłoni“.

Zatem, kto się spracował „wielkimi problemami narodowymi“ i zechce odetchnąć niech ma „Apetyt na czereśnie“. Niech się — słusznie — cieszy powrotem na scenę Krystyny Dygat-Kiersnowskiej, złotego — naprawdę — talentu. W kalejdoskopie scenek migawkowych daje ona pokaz ze swych bogatych możliwości scenicznych, choć wśród nich talenty pieśniarskie znajdują się z pewnością na dalszym miejscu. Mniej swobodnie czuje się w roli zawiedzionego i rozwiedzionego, a przecież wiernego małżonka Witold Scheybal, lepiej przysposobiony do ról dramatycznych niż rewiowych. Sprawnie wyreżyserował ten modny „musical“ L. Kielanowski; z modnym „miserabilizmem“ w dekoracjach dobrze poradził sobie Jan Smosarski, dając uniwersalne umeblowanie z pianinem zajmującym pół sceny. Na wyróżnienie zasługuje też delikatność z jaką Andrzej Marek prezentował swój talent kompozytorski i akompaniatora.

Sztuki Osieckiej nie pozbawione talenciku pieśniarskiego, tak rozpowszechnionego w naszych czasach po całym świecie, mają duże powodzenie w Kraju i korzystają z poparcia ze strony oficjalnych kierownictw teatrów. Ale to są już okoliczności związane z życiem i ustrojem teatralnym w Kraju, które nie sposób byłoby przenieść na emigrację. Zrównanie pod tym względem usprawiedliwiłoby nazywanie emigracji Polonią wykarmioną na „złoty rybkach“ oficjalnego repertuaru krajowego. Chleba! Chleba! Chleba!!!



# WYKONAWSTWO W MUZYCE

Jedno spojrzenie na historię muzyki, nawet czytelnika zupełnie z przedmiotem nieobeznanego, pozwala dostrzec, jak wielką rolę spełniali i jak bardzo fascynowali publikę wszystkich epok wirtuozi. Najwybitniejsi z nich potrafili stworzyć wokół siebie niebledną aureę, która niejednokrotnie przetrwała próbę czasu i uczyniła z nich symbole przyciągające z magiczną siłą muzyków późniejszych. Niektórzy łączyli w sobie również pierwiastek twórczy; inni jeszcze, nawet bez aspiracji kompozytorskich, nadużywali czasem swej sławy i mając wskutek niej zapewniony odbiór wśród entuzjastów, pisali muzykę, której podstawą był popis akrobatycznej chwila mi zręczności. Nie umniejsza to jednak wkładu w muzyczny rozwój tych spośród nich, którzy przez śmiałą eksploatację technicznych możliwości, przyczynili się w rezultacie do poszerzenia palety muzycznej ekspresji. Warto też w tym miejscu zdać sobie sprawę z tego, że zdecydowana większość kompozytorów była również wirtuozami najwyższej klasy. Ze względu na trudność wytyczenia trwałej granicy między popisem biegłości a twórczą przemianą, opinie na tym polu poddawane są ciągłej rewizji, a wymagają one niezwyklej kultury muzycznej. Jeśli chodzi o samo wirtuozostwo, to rozbija się ono na dwa główne elementy — niezawodne opanowanie techniki oraz ową zdolność odczuwania duchowego ładunku muzyki, wyrażającą się w interpretacji; oba te pierwiastki czynią wirtuoza niezastąpionym zarówno w przekazywaniu, jak i rozwoju sztuki muzycznej.

W ciągu wieków palmę pierwszeństwa w popularności dzierżyli niezachwianie muzycy, którzy oddawali się grze na instrumentach uprzywilejowanych. Tak więc w wieku XVII rozwijały się obok siebie skrzypce i klawesyn, co doprowadziło do zaciętej rywalizacji aż do chwili, gdy w wieku XVIII skrzypce zdecydowaną wzięły górę jako instrument solowy. Początek tej tradycji otwiera się na Monteverdim, który bardzo szybko zdał sobie sprawę z drama-

tycznych, jak i lirycznych możliwości tego instrumentu i zaczął, jak i później Lully, używać skrzypiec na wielką skalę w swych orkiestrach. W ciągu najbliższych lat ugruntowały się one jako nieodzowna część składowa orkiestr „symfonicznych”. Prawdziwym ojcem niezależnej muzyki smyczkowej był jednak Arcangelo Corelli. Był on też i pierwszym wielkim wirtuozem skrzypiec, na które wiele komponował. Doszedł on do ogromnego rozgłosu w drugiej połowie XVII wieku i cieszył się nim aż do końca swego życia (1713). Stworzył on wtedy włoską tradycję skrzypcową, która rządzić miała prawie bez konkurencji aż do czasów owego wzburzonego morza muzycznej historii, jakim był niechybnie XIX wiek. Za jaki autorytet uważał się Corelli dowodzi fakt, że czuł się on wielce dotknięty, gdy w czasie słownego pojedynku, Händel wystąpił przeciw jego regułom technicznym i pedanterii. W następnych latach tradycję tę kontynuowali i rozbudowywali dwaj słynni skrzypkowie — podziwiany przez Bacha Tomaso Albinoni i uczeń Corellego Francesco Geminiani — których sława również była olbrzymią. Prawie w tym samym czasie, trzeci znamienity skrzypek zdobywa sobie miejsce w świecie muzycznym — jest nim Giuseppe Tartini, zmarły w roku 1770-ym — wielki technik i śmiały eksperymentator akustyki. W ten sposób rośnie zastęp wielkich nazwisk wirtuozów, których wpływ staje się bardzo ważnym aspektem muzycznej działalności europejskiego życia artystycznego, a w rezultacie otwiera przed nimi drzwi monarszych dworów i zapewnia im uprzywilejowaną pozycję we wszystkich największych imprezach muzycznych ówczesnego świata. Należy do nich także inny wybitny skrzypek włoski — Locatelli. Wtedy również, po raz pierwszy na tak wielką skalę, znajduje włoska tradycja rywala we francuskim mistrzu, o równej Włochom sławie i biegłości, Jean Marie Lecclair, który padł ofiarą niewyjaśnionego do dziś morderstwa niedaleko swego domu w Paryżu, w roku 1764-ym. W drugiej połowie stu-

lecia dominuje międzynarodową scenę Gaetano Pugnani — także niezwykle ceniony i prawdziwie pierwszorzędnym artysta jak i poważany instruktor. Po nim zaś przez długi czas święci triumfy uczeń jego o niemniejszej sławie — Giovanni Battista Viotti, który jest zarazem ostatnim przedstawicielem tradycyjnej szkoły włoskiej, utrzymującej swą hegemonię zazdrośnie i z tak wielkim powodzeniem poprzez późny Barok i całe Oświecenie.

Mistrzowie tego okresu mieli szereg cech wspólnych — wszyscy wielcy skrzypkowie byli również kompozytorami, w tym wypadku zresztą z poważnymi osiągnięciami, a także wszechstronnie zainteresowanymi muzykami. Corelli i jego bezpośredni dziedzice stworzyli jedną z najbardziej monumentalnych form muzycznych Baroku-Concerto Grosso; Geminiani pisał słynne traktaty o grze na skrzypkach; teoretyczne prace z tego okresu pisał także Tartini, który był również założycielem sławnej szkoły dla skrzypków; Lecclair w 20 roku życia został mistrzem baletowym; Viotti przez jakiś czas był nawet dyrektorem opery włoskiej w Paryżu. Przykłady te pokazują jak szeroki zakres miała praca tych wybitnych ludzi. Ich wpływ i oddziaływanie w sferze zarówno wykonawstwa jak i kompozycji miały charakter międzynarodowy. Nadawali oni ton muzycznemu światu we wszystkich krajach zachodnich. W owych czasach pojęcie muzyki było na szeroką skalę czymś kosmopolitycznym i wielcy skrzypkowie dobrze pojmowali swą rolę pod tym względem. Geminiani mieszkał nawet częściowo w Anglii a umarł w roku 1762-ym w dalekiej Irlandii, w Dublinie; Tartini 3 lata swej wytężonej pracy spędził w Pradze; Lecclair dwukrotnie wyjeżdżał do Holandii, by zobaczyć się z przebywającym tam Locatellim, zanim tak okrutnie nie skrócono jego życia. Viotti, autor dwudziestu dziewięciu koncertów skrzypcowych, żył aż do roku 1824-ego i dlatego ostatnie lata jego życia upłynęły mu w biedzie i zapomnieniu, gdyż czasy klasycznej szkoły włoskiej już się skończyły i świat muzyczny podle-

gał gwałtownym przemianom i wstrząsom, a sława przebrzmiałych muzyków szła w niepamięć.

„Był to wiek Paganiniego — pisze o okresie następnym jeden z krytyków — wirtuozostwa tak wszystko przechodzącego, jak gdyby wiało siarką nad polami jego zaklętych mistrzów“. I rzeczywiście, wiek XIX wydał wielu znamienitych wirtuozów o porywającej sławie, lecz zaszła tu zasadnicza zmiana — skrzypce ustąpić musiały pierwszeństwa fortepianowi. Rywalizacja między mistrzami smyczka i klawiatury doprowadziła do przewagi tych pierwszych tak długo, jak, mając do dyspozycji genialnie udoskonalony przez Stradivariusa instrument, znajdowali oni przeciwnika w staroświeckim klawesynie. Bez ujmy dla tego ostatniego i tym bardziej bez ujmy dla jego muzyków nie było wówczas siły, która potrafiłaby tradycji skrzypcowej przeciwstawić równie poważaną tradycję klawiatury, choć i klawesyn miał twórców i wirtuozów o wielkiej sławie i znaczeniu dla całej historii muzyki. Kiedy Corelli budował smyczkową tradycję włoską, na dworze Ludwika XIV-ego o piętnaście lat młodszy Francois Couperin, znany dla swej wybitności pod przezwiskiem „le grand“, stworzył tradycję klawesynu. Był on wielkim kompozytorem, a przy tym przez długi czas i największym wirtuozem tego instrumentu. Jak i Corelli był on muzykiem opierającym swe teorie na wszechwładnym wówczas prawie pederii i akuratności wykonawstwa i kompozycji. W kilkanaście lat później francuska tradycja pozbawiona zostaje pierwszeństwa przez równie wielkiego jak Couperin kompozytora i wspaniałego wirtuoza, jakim był Domenico Scarlatti. Rozwinął on technikę i rozbudował zasięg ekspresji klawesynu w swych słynnych sonatach, których liczba przekracza 550. Mimo tych osiągnięć, ani Couperin, ani Scarlatti nie zdołali odebrać skrzypcom prymatu w owych czasach. Trzeba było na to czekać aż pod koniec XVIII wieku, kiedy Mozart, uważany do dzisiaj za niezrównanego wykonawcę swych własnych kompozycji, położył fundamenty pod późniejszą tradycję pianistyczną. Możliwość stworzenia takiej tradycji nadarzyła się z rozpowszechnieniem fortepianu, wynalazku

Cristofori, włoskiego fabrykanta klawesynów z pierwszej połowy XVIII wieku. Wiedeń stał się osłabionym centrum muzycznego świata w tym właśnie okresie.

Na jakiś czas jednak, mozartowska tradycja została zagrożona przez wielkiego jej rywala, jakim był, od wczesnych lat zamieszkały w Anglii, włoski kompozytor i nie ustępujący Mozartowi w dziedzinie wielkiej pomysłowości i biegłości technicznej, mistrz klawiatury — Muzio Clementi. Lecz Wiedeń budujący wokół siebie sławę na triumfach Mozarta i Beethovena aż pękał od oszalałymi nazwiskami i uwielbianymi pianistów, których gra osiągnęła rzeczywiście imponujące wyżyny w przeciągu następnych kilku dziesiątków lat. Postacią tak ściśle związaną z tym okresem jest uczeń Haydna, kompozytor i respektowany wydawca muzyczny, a zarazem zamiłowany pianista — Anton Diabelli — którego zasługi w publikowaniu muzyki są wręcz nieocenione. Fortepian stał się wtedy czczonym instrumentem solowym na wszystkich koncertach, a obecna jego pełna godności pozycja wywodzi się z tych właśnie czasów muzycznego przewrotu. Utrzymanie fortepianowej supremacji Wiednia stało się naówczas możliwe dzięki paru następującym po sobie wielkim artystom. Wzrosły jeszcze na przykładzie starych klasyków, wkroczył na scenę międzynarodową i zdobył sobie głośną sławę zdolny kompozytor i niezwykle wybitny i ceniony za swoje budzące podziw wykonawstwo pianista Johann Nepomuk Hummel — cieszący się uznaniem aż do swej śmierci w roku 1837. Drugim wielkim filarem wiedeńskiej sceny był młodszy od niego o kilkanaście lat Karl Czerny — autor niezmiernej ilości etud fortepianowych i niezmordowany technik, którego zbiór ćwiczeń palcówkowych „Die Schule der Geschwindigkeit“ jest do dzisiaj cenionym i używanym zeszytem pomocniczym przez uczących się pianistów. Rzadko też zdobył sobie kto w czasie swego życia tak mityczną niemal sławę i pozyskał tak szeroki poklask, jak uwielbiany przez wiedeńczyków i fascynujący biegłością i nowatorską eksploatacją klawiatury — Zygmunt Thalberg. Sława tych mistrzów rozchodziła się po całej Europie. Znany jest fakt, jak

bardzo niepewnie czuł się Chopin, kiedy, po raz ostatni opuściwszy Polskę, przyjechał do Wiednia i wystąpić miał w owym mieście, w którym wciąż jeszcze komponował i grał sam, widziany kiedyś przez Chopina w Warszawie, Hummel, gdzie pracował wtedy w całej pełni Czerny, a zbierał już i święcił swe pierwsze wielkie triumfy Thalberg. Wtedy zresztą wielki kompozytor nie zdołał zdobyć sobie wiedeńskiego audytorium, lecz po krótkim pobycie w cesarskiej stolicy zdał sobie Chopin dobrze sprawę, że może mierzyć się ze wszystkimi trzema mistrzami.

Wiek XIX pozostawał do dużego stopnia pod czarem błyskotliwej i dynamicznej sławy człowieka, którego niektórzy uważali za sprzymierzonego z siłami piekielnymi, człowieka, którego Schumann nazywał „punktem zwrotnym wirtuozostwa“. Był nim Niccolò Paganini — którego niedościgniona i oszalałająca technika i pełna pasji, szatańska gra, kiedy z rozwianym włosiem dobywał ogień ze swych, zdawało by się, niezemskich skrzypiec, stały się natchnieniem wielu artystów przez długi jeszcze czas po jego śmierci w roku 1840. Paganini był również kompozytorem — napisał on między innymi 24-ry „Capricci“, w których zademonstrował swą nową technikę skrzypcową. Niemalym też uznaniem cieszył się inny wielki skrzypek dziewiętnastowieczny — Henri Vieuxtemps, kompozytor, poważany nauczyciel pracujący przez pewien czas aż w odległej Rosji. Niemniej znany był też, zasługujący na największą uwagę, przyjaciel Brahmsa i Klary Schumann, a mieszkający w Niemczech węgierski skrzypek, kompozytor i orkiestrator — Joseph Joachim. Lecz były to już czasy fortepianu, a Paganini, choć wytworzył wokół swej osoby nimb jakiego nie zaznał dotąd nikt w historii skrzypiec, nie zdołał powstrzymać rosnącego i powszechnego uwielbienia dla klawiatury.

Jarema Korczak

(Dokończenie w następnym numerze)

---

Dobry uczynek —  
zachęcić przyjaciela  
do prenumerowania  
„ORŁA BIAŁEGO“

---



## Z Marssem lepiej ostrożnie

**N**A WYPADEK, gdyby państwo uważali, że to, co teraz opowiem, jest nieprawdopodobne, chciałbym na wstępie zwrócić uwagę wszystkich niedowiarków na trzy istotne fakty:

1) Gdyby kto 15 lat temu powiedział, że w r. 1969 ludzie wylądują na księżycu, niewątpliwie zostałby okrzyknięty za wariata.

2) Wprawdzie Biuro Badania Niezidentyfikowanych Latających Przedmiotów w Ameryce uległo w przeszłym roku likwidacji, ale cały szereg zaobserwowanych przez wiarygodnych świadków przedmiotów tego typu nie został przez biuro to wytłumaczony.

3) Jeśli chodzi o mnie samego, nie jestem narkomanem, nigdy nie cierpiałem na przejściowe nawet zamroczenia i wizje, a piję raczej wstrzemięźliwie, co poświadczyć może szereg tak odpowiedzialnych i kulturalnych ludzi, jak Sewilski, Astrachański, Erywański, nie mówiąc już o pracowniku jednego z ministrów brytyjskich, Gruntownym.

Zresztą osądźcie państwo sami. Rzecz się miała tak: w jeden z raczej pochmurnych i dżdżystych wieczorów styczniowych (dokładne dane co do dnia, czasu i godziny mogą być podane na żądanie czynników odpowiedzialnych), gdy żona moja przebywała z wizytą u swej przyjaciółki z czasów jeszcze szkolnych, Piszczkowskiej, siedziałem z książką w ręku przed telewizją. Pozorna niezgodność tych funkcji (czytania książki i równoczesnego oglądania telewizji) da się łatwo wytłumaczyć faktem, że w telewizji właśnie pokazywano stary i bardzo kiepski film z Dzikiego Zachodu, na który właściwie nie było po co patrzeć; z drugiej jednak strony, chciałem się upewnić, że moje przewidywania co do dalszego rozwoju akcji okazały się prawdziwe, więc od czasu do czasu odrywałem oko od książki — także niezbyt interesującej — i spoglądałem na ekran. Wszystko to razem powodowało, że czułem się raczej sennie i właśnie zastanawiałem się, czyby też dla ożywienia nie napić się czegoś mocniejszego, gdy nagle poczułem silny przeciąg, docierający od drzwi ogro-

dowych. Ponieważ osobiście zakleiliśmy te drzwi taśmą klejącą na zimę, zdziwiło mnie to bardzo. Ale zdziwienie moje wzrosło niewspółmiernie, kiedy obejrzawszy się, stwierdziłem, że w otwartych drzwiach od ogrodu stoi dwóch, powiedzmy osobników — nie znajduję na nich lepszego określenia. Były to osoby bardzo nieduże — na oko ocenilem ich na mniej więcej metr czterdzieści, może pięćdziesiąt — ubrane w kostiumy, noszące wyraźne podobieństwo do strojów amerykańskich selenautów. Na głowach — ponad hełmy — wystawał im rodzaj czułek, a ponadto każdy z nich wyposażony był w troje rąk i — niewątpliwie dla symetrii — w taką samą liczbę nóg. Dla baczniego widza programów telewizyjnych na temat podróży międzyplanetarnych nie mogło ani na chwilę ulegać wątpliwości, że musieli to być przybysze z odległych planet.

— Może panowie będą łaskawi wejść i zamknąć za sobą drzwi, bo strasznie wieje — powiedziałem uprzejmie, zdając sobie sprawę, że — zgodnie z autorami wielu fantazji kosmicznych — przybysze ci są napełnieni zaopatrzeniem w aparaty, służące do natychmiastowego przekładu z każdego języka na ich własny i odwrotnie.

Nie pomyliłem się, gdyż obaj nieoczekiwani goście weszli do pokoju i starannie zamknęli za sobą drzwi, po czym bliżyli się do mnie i powiedzieli zgodnym chórem:

— Niech żyje rewolucja światowa!

Zaniepokoiłem się nieco:

— Bardzo panów przepraszam — powiedziałem z wahaniem. — Ale czy panowie czasem nie pomylili się w adresie? U nas się mówi po prostu „Dobry wieczór“.

Bardzo się speszyli. Czułki na głowach zafalowały im dziwnie, i wyższy z nich powiedział:

— Bardzo pana przepraszamy, ale w ostatnich dniach naszego lotu odbieraliśmy przez prawie cały czas tylko radio Pekin, a tam tak zaczynały wszystkie audycje. Siła przyzwyczajenia!

— Nie szkodzi, nie szkodzi! — uśmiechnąłem się życzliwie. — Proszę bardzo, może panowie spoczną?

Usiedli. Wyższy z nich założył drugą nogę na pierwszą, a trzecią na drugą i zaczął wyjaśniać

— Widzi pan, my tu przylecieliśmy z Marsa...

— To na Marsie jest życie? — wyrwało mi się niechętnie.

Przybysze uśmiechnęli się.

— Na Marsie? Takie życie! — powiedział niższy z wymownym gestem. — Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że my przybyliśmy ze skargą.

— Ze skargą? — zdumiałem się. — Jak to ze skargą? Na kogo?

— No, na was, to znaczy na ludzi — wyjaśnił wyższy. — Chcielibyśmy to załatwić polubownie, pan rozumie, zanim użyjemy środków mocniejszych.

— Jakich mocniejszych środków? — zaniepokoiłem się.

Przybysze uśmiechnęli się znowu, tym razem z wyraźnym pobłażaniem.

— Moglibyśmy na przykład przesunąć waszą ziemię na znacznie bliższą orbitę wokół słoneczną — mówił wyższy. — Co podwyższyłoby temperaturę dzienną na powierzchni waszej planety do jakichś, powiedzmy, 300 stopni Celsjusza.

— Dziękuję bardzo — odparłem. — Dla mnie to trochę za gorąco, ale moja żona byłaby zachwycona. Ona cały dzień może siedzieć na plaży.

— Obawiam się — powiedział na zmianę ten niższy z gości — że nawet dla pańskiej szanownej małżonki mogłoby to się okazać trochę za gorące, zwłaszcza, że plaża jako taka byłaby nieistotna wobec kompletnego wyparowania morza.

— Może macie panowie rację — odpowiedziałem po chwili namysłu. — Po diabła komu plaża, jeżeli morze w ogóle diabli wzięli? Ale na co się panowie uskarżacie. Osobiście nie pamiętam, żeby kiedykolwiek czymś zgrzeszył przeciw Marsowi.

Na to wyższy z Marsjan wyjął z kieszeni notes. Przewracając strony zaczął wyliczać:

— Zaczęło się w roku 1958, kiedy zaczęliście wysyłać w przestrzeń kosmiczną wasze prymitywne pojazdy i stacje doświadczalne. Póki chodziło o przestrzenie, położone bezpośrednio w pobliżu ziemi — no, to wasza sprawa. Chcecie je zaśmiec bezwar-

tościowym żelastwem — zaśmiecajcie. Ale z roku na rok robiło się gorzej. Zachciało się wam wysłać sondy wokół Wenus i nawet wokół nas, nie mówiąc już o księżycu, który wasi selenauci tak zagracili w ciągu dwóch wizyt, że po prostu przykro patrzeć.

— Czy pan zdaje sobie sprawę, że zbieranie śmieci, zostawionych przez wasze ekspedycje w przestrzeni kosmicznej, to wcale kosztowny interes? — przerwał niższy z gości.

— Ależ panowie — wystąpiłem z obroną ludzkiego programu przestrzennego. — To przecież dla dobra nauki!

— Nauki! — wyższy Marsjanin skrzywił się gorzko. — Te dziecinne zabawki nazywa pan pomocami naukowymi? Na tym stadium rozwoju my, na Marsie, byliśmy jakieś 200.000 lat temu. Nie, proszę pana, mówmy poważnie. Obserwując bacznie ziemię przez ostatnie kilka tysięcy lat, doszliśmy do wniosku, że wasza inteligencja absolutnie nie dorównywa pewnym — ograniczonym zresztą — zdolnościom technicznym, jakie w ciągu tego krótkiego okresu przejawiliście. Zwłaszcza ostatnio zaczynacie zdradzać wyraźne skłonności samobójcze.

— Co też pan opowiada! — oburzyłem się. — Wprost przeciwnie! Zamożność wzrasta, co druga rodzina w Anglii ma samochód, prawie każdy telewizję...

— A właśnie! — przerwał niższy Marsjanin. — Wasze samochody zatrwały już tak powietrze w miastach, że nie ma czym oddychać. Dlaczego — jak pan sądzi — mamy na głowach te hełmy? Tylko po to, żeby uniknąć zetknięcia z zatrutą przez was atmosferą.

— Do żywności dodajecie chemikalia, o których działaniu na dalszą

metę nic jeszcze nie wiecie — podchwycił wyższy. — Palicie papierosy, których szkodliwość jest nawet przez was samych naukowo stwierdzona, pijecie alkohol, który powoduje takie mnóstwo wypadków na drogach...

— Chwileczkę, proszę panów — wstrzymałem ich w rozpędzie. — Mówcie, jak ślepy o kolorach. Co wy wiecie o takim alkoholu na przykład. Piliście kiedy whisky?

— Nnnie — zająknął się wyższy. — Ale wiemy, że to trucizna.

Zadecydowałem, że trzeba działać w obronie ziemskiej cywilizacji. Stanowczym krokiem podszedłem do kredensu, wyjąłem stamtąd 3 kieliszki i butelkę. Nalałem i podałem każdemu z gości po kieliszku.

— Wasze zdrowie! — powiedziałem, wychylając na nasz sposób kieliszek jednym haustem.

Po krótkim wahaniu obaj poszli za moim przykładem, przykładając kieliszki do rurek.

— Hm, niezłe, — zauważył wyższy. — Ale to nie zmienia faktu, że chcemy was ostrzec: trzymajcie się zdala od kosmosu. Jasne?

— Jasne! — zgodziłem się nalewając następny kieliszek. — Na drugą nogę! Siup!

Po godzinie rozmawialiśmy, jak najlepsi przyjaciele. Naturalnie, byliśmy już po imieniu, chociaż — muszę przyznać — obaj mieli bardzo niewygodne imiona. Wyższy nazywał się XSP574ZQR, a niższy — jako niższy rangą — tylko RWG720E. Nagle X — bo tak go nazywałem dla uproszczenia — spojrzał na zegar.

— Rany Julek — przeraził się. — My tu sobie gadu-gadu, a u nas czekają na sprawozdanie. Serwus, Franek — i nie zapomnij przekazać naszego ostrzeżenia (język się im trochę zaczął plątać) odpowiednim czynnikiem.

Rozstaliśmy się serdecznie.

— Piszcie! — wołałem, gdy wsiedli do swego latającego talerzyka, stojącego na trawniku w moim ogródku. — I nie zapomnijcie przyjechać na moje imieniny! Poznacie wszystkich moich przyjaciół!

Start trwał dłuższą chwilę, bo zwłaszcza R bardzo niepewnie trzymał się na nogach i dwa razy upadł przy wsiadaniu. Ale w końcu talerzyk unióś się w górę, i — zataczając się zlekka (może mi się tylko zresztą zdawało) — zniknął w przestrzeni.

Sytuacja pogorszyła się wyraźnie z powrotem żony. Nie tylko że nie uwierzyła mojemu opowiadaniu, ale wręcz oskarżyła mnie o wymyślanie nieprawdopodobnych bzdur dla uzasadnienia wypicia przeze mnie całej butelki whisky. Na próżno pokazywałem jej następnego dnia rano odciski trzech nówek talerzyka w ogrodzie. Powiedziała, że sam je zrobiłem przy użyciu trzonka od łopaty. Na próżno powoływałem się na przykład naszego amerykańskiego rodaka Adamskiego, którego wiele lat temu odwiedzili również mieszkańcy innych planet. Nic nie pomogło. Wobec tego na prawdę nie wiem, czy warto mi przekazywać ostrzeżenie moich nowych przyjaciół właściwym czynnikiem? O ile znam nasze władze, to mi nawet nie zwrócą za tę butelkę whisky, którą spożytkowałem dla dobra stosunków międzyplanetarnych. Ale wszystkich, którzy gotowi są usłuchać dobrej rady, upominam: Trzymajcie się z daleka od Marsa!

Zwłaszcza teraz, kiedy nauczyłem Marsjan pić napoje alkoholowe. Jeżeli my tu na ziemi, na naszym prymitywnym stopniu rozwoju, potrafimy tak rozrabiać po wódce, to czego można się spodziewać po Marsjanach? Resztki włosów jeżą mi się na głowie na samą myśl o tym!

**Adres WYDAWNICTWA:** PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. **Korespondencję** z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). **Adres ADMINISTRACJI:** „Gryf” — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. **Oddział Redakcji we FRANCJI:** „Syrena” — 20 rue Legendre, 75-Paris, 17-e. Tel. 924 0045, C/C/P/ Ass. E.A.C.P. en France, 6365-22 Centre Paris oraz na pld. Francji — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.); w BELGII: J. Korab Bzozowska-Csáky, 19, rue Amédée Lynen, apt. 57, Bruxelles 3, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/1; w SZWAJCARII: S. J. Karolus, 10 rue Ingold, CH-2500, Biel-Bienne 2; w SZWECJI: Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; w WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNI: „Libreria Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.”, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf”, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa”, L. Zukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. **ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH.** Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. **PRENUMERATA** — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. **Dotyczy** za przesyłkę lotniczą według taryfy.

Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.



## Książki nadesłane

(Autorstwo zbiorowe) „PRZEBITY ŚWIATŁEM“, Pożegnanie z Kazimierzem Wierzyńskim, wydane w roku jego zgonu w Londynie, obejmuje przedruk numeru „Wiadomości“ poświęconego pamięci Poety i artykułów o nim w paryskiej „Kulturze“, w „Orle Białym“ i w „Na antenie“ oraz wybór przemówień żałobnych, których część ukazała się w „Tygodniu Polskim“, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1969, str. 173.

SAVING JEWS IN WAR-TORN POLAND, foreword S. Korbański, WHO SAVED THE JEWS? A. Czeiuk, ŻEGOTA — POLISH COUNCIL FOR JEWISH RELIEF (1943-1944). R. Gronowski, TESTIMONIES AND AFFIDAVITS, Melbourne, Australia, 1969, pag. 56.

CZWARTY KONGRES POLSKIEGO STRONNICTWA LUDOWEGO, Bruksela 19-20. X. 1968, nakł. Polskiego Stronnictwa Ludowego, Londyn, 1969, str. 128.

POLSKI SZPITAL PENLEY, 1947-1969, Jednodniówka, wyd. staraniem Tow. Friends of Polish Hospital Penley pod redakcją M. Chwalibóg, Penley.

DUSZPASTERZ POLSKI ZAGRANICĄ nr. 1 (86), zawiera m.in.: Motu proprio Pawła VI, Instructio De Pastoralis Cura, Młodzi o sobie (M. Juhre), Sprawozdania, komunikaty., Dział kaznodziejski, Rzym, 1970.

BIULETYN INFORMACYJNY KOLA ŻOŁNIERZY 5 KRES. BAONU C.K.M., przynosi w treści m.in. „XXV-lecie zwycięstwa“, „Po 25 latach — szlakiem walk“, „Złot Harcerstwa Polskiego w 25 rocznicę walk“.

## LISTY DO REDAKCJI

## ŹRÓDŁO ARTYKUŁU

Szanowny Panie Redaktorze,

Rozumiem doskonale, że mogło zabraknąć miejsca w ramach artykułu „Akt szczerego pietyzmu“ („Orzeł Biały“, nr 66/1213) na wskazanie źródła, z którego zaczerpnięte zostały podane w nim informacje. Wobec tego byłbym wdzięczny za wskazanie, że artykuł ten oparty był na materiałach zawartych w moim opracowaniu pt. „25 lat Teatru Polskiego na Obczyźnie, 1030—1964“.

Ten zarys dziejów teatru polskiego na emigracji przygotowany był z racji jubileuszu 25-lecia Teatru Polskiego na Obczyźnie, obchodzonego przez ZASPZ w roku 1964. Maszynopis tej pracy obejmuje przeszło 1000 stron i miał być wydany przez Związek Artystów Scen Polskich Zagranicą, na którego zlecenie praca była wykonana.

Uprzejmię proszę o ogłoszenie tego listu w poczytnym piśmie Pana Redaktora.

Łączę wyrazy poważania,

J. Ostrowski, M.A.

Londyn.

Postać i muzyka Chopina to serce i duch niezłomny narodu polskiego, nasza chwała i duma na polu międzynarodowym.

Z inicjatywy i staraniem Prezesa Zjednoczenia Polskich Artystów Muzyków Zagranicą, Prof. Stefanię Niekraszowej, powstanie pierwszy pomnik Fryderyka Chopina przed sławnym Królewskim Festival Hallem, w Londynie.

„Jeśli mówimy o Chopinie, myślimy o Polsce, jeśli mówimy o Polsce, myślimy o Chopinie“ — powiedział Prezydent Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych, Sir Thomas Monnington, na konferencji prasowej w Królewskim Festival Hallu.

Na wzniesienie posągu F. Chopina udzieliła zgody Rada Miasta Londynu. Posąg dłuta S. Cramptona, Prezesa Królewskiego Stow. Rzeźbiarzy Brytyjskich, zatwierdziła Najwyższa Rada Sztuk Pięknych w W. Brytanii, i Królewska Akademia Sztuk Pięknych, władze Londynu i Zarząd Zjednoczenia Polskich Artystów Muzyków Zagranicą.

Będzie to pierwszy pomnik, naszego narodowego kompozytora, w Wielkiej Brytanii, gdzie koncertował na krótko przed swą przedwczesną śmiercią.

Niech będzie ambicją każdego Polaka złożenie ofiary na ten godny cel, by zasłużyć na wdzięczność potomności.

Koszt pomnika £9.000.

Pieniądze w czekach i przekazach pocztowych należy kierować do:

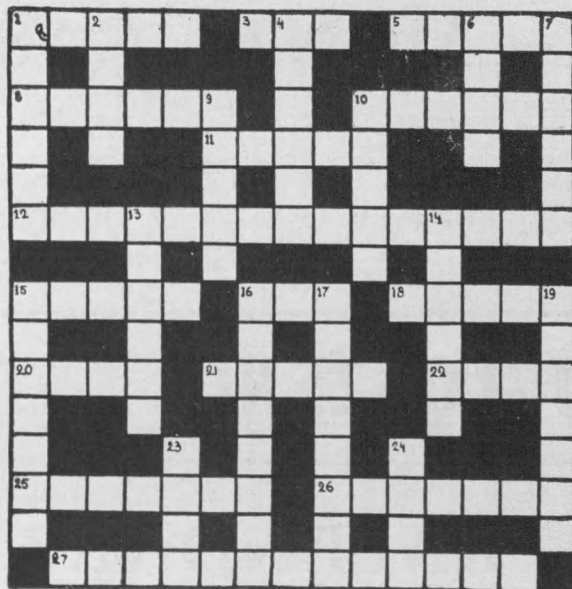
THE CHOPIN MONUMENT FUND  
c/o The National Bank Ltd.,  
70, Gloucester Gardens, LONDON W. 2.

## K R Z Y Ż Ó W K A N r 123/70

## ZNACZENIE WYRAZÓW

**Poziome:** 1) i 5) powieść i sztuczka udana (dwa słowa); 3) i 16) sztuka; 8) bronił się dzielnie i długo w kampanii wrześnieowej (wspak); 10) fruwająca łódź?; 11) uraza (wspak); 12) Maciek nad Maćkami (trzy słowa); 15) i 18) w ich klasztorze więziono Filomatów (l. p.); 20) dawno; 21) dusi po nocach; 22) terminy sądowe (wspak); 25) gdy całujesz żonę w obecności jej męża? (wspak); 26) turecki święty; 27) dzieło czterech autorów (dwa słowa).

**Pionowe:** 1) i 15) poznasz księcia po zaroście (dwa słowa); 2) i 6) w muzeum, a czasem w prywatnym domu; 4) skutek tego był fatalny dla wielu nóg; 7) dawniej ważny w obronie (l. mn.); 9) licha lecz sławna; 19) pozdrowienie; 13) przesładują wielkich grzeszników; 14) ojczyzna Cyncerona; 16) głos jego jest głosem sędziego; 17) księżniczka chińska z opery; 19) kwiaty; 23) siedmiu chciało je zdobyć; 24) w domu z żoną i dziećmi?



7) osioł, 9) kaduk, 10) dusza, 11) finał, 12) kokos, 14) Święty Mikołaj, 19) figi, 20) kumy, 21) nakaz, 22) duch, 23) echo, 24) kołęda, 25) kaleta.

**Pionowe:** 1) gwiazdka, 2) katusze, 3) dziadek, 4) migdały (wspak), 5) smakołyk, 12) koturn, 13) sękacz, 14) świadek, 15) lechici (wspak), 16) markiz, 17) łakocie, 18) jemiola.

## ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 122/69

**Poziome:** 2) kolędniczy, 6) i 8) imitacja,

HENRYK GRUBER  
**WSPOMNIENIA I UWAGI**  
1892 — 1942

Trzy części:

- I. **BUG WPADA DO WISŁY** — Autor przedstawia życie w prowincjonalnym miasteczku Sokalu, pobyt w Lwowie i Wiedniu, udział w kampanii wojennej w Legionach Piłsudskiego oraz w wojnie przeciwko bolszewikom w 1920 roku.
- II. **ANATOMIA POCZĄTKÓW** — to okres służby państwowej na różnych stanowiskach a przede wszystkim jako Prezesa P.K.O. i Prezesa Banku P.K.O. oraz udział w doniosłych konferencjach gospodarczych na najwyższym szczeblu państwowym.
- III. **CZART PROWADZI BAL** — przejścia w Paryżu i zdarzenia w Londynie widziane przez autora z Argentyny.

576 stron!

Ilustracje!

Cena: £3.0.0 plus koszt przesyłki!

Wydawca: Gryf Publications Ltd.

SKŁAD GŁÓWNY: Księgarnia Kombatancka — 20, Queens Gate Terrace, LONDON, S.W.7. — Nadto do nabycia we wszystkich księgarniach polskich.

**IDEALNY PODAREK DLA NASZYCH  
NASTOLATKÓW**

Niezwykle ciekawa i barwna opowieść o słynnym w historii 2-go Korpusu Polskiego niedźwiadku:

W. A. LASOCKI

**W O J T E K**

spod

**MONTE CASSINO**

*z ilustracjami Ireny Ludwig*

Cena: 12/6

Zamówienia przyjmuje:

KSIEGARNIA S.P.K. — 20, QUEENS GATE TERRACE,  
LONDON, S.W.7.

**OGŁOSZENIE**

Zamieszczone w „ORLE BIAŁYM“,  
czytają Polacy  
w 25 krajach świata.

BIBLIOTEKA „KULTURY“

FRANCISZEK KALINOWSKI

**LOTNICTWO POLSKIE  
w W. BRYTANII**  
(1940—1945)

Obszerny zarys historii Lotnictwa Polskiego z lat 1940/45, opracowany na podstawie źródłowych materiałów polskich i angielskich. „Battle of Britain“ — pomoc lotnicza dla Kraju, ze szczególnym uwzględnieniem Powstania Warszawskiego. Zestawienia statystyczne wysiłku bojowego każdego rodzaju lotnictwa, zwycięstw dywizjonów i indywidualnych, straty w poszczególnych rodzajach lotnictwa. Indeks zawierający ponad 1.000 nazwisk.

Cena: 60 sh. — 7.50 dol. — 36 F.

**Księgarnia SPK,**

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W.7.

**THE POLISH TRUSTEE  
ASSOCIATION LTD**

(Polskie Stowarzyszenie  
Powiernicze)

*sporządza testamenty,  
likwiduje spadki,  
uzyskuje i przekazuje renty  
do Polski.*

20, QUEENS GATE TERRACE,  
LONDON, S.W.7.  
Tel.: 584 0747

**KALENDARZYK KOMBATANTA**

NA ROK 1970

**NIEODZOWNY INFORMATOR DLA KAŻDEGO**

CENA: 7/6